

Od redakcji: Reportaż ten pisany był na gorąco w lutym 1971 roku. Zamieszczamy go z okazji dziesiątej rocznicy wydarzeń łódzkich, które, o czym zapomnieli już niektórzy publicyści, spowodowały powrót do starych cen mięsa oraz innych artykułów żywnościowych. Klasa robotnicza Łodzi była wówczas drugą, po Gdańsku, centralną siłą odnowy.

Przeznaczony dla „Polityki” tekst (autor był wówczas pracownikiem tego pisma), został zatrzymany przez cenzurę. Drukujemy go bez skrótów i pominięcia jakichkolwiek narzekań jako swobodny dokument historyczny. Euforia, której chwilami ulegał autor, była wówczas euforą niemal całego narodu, fakty natomiast, bez względu na ich interpretację, pozostają faktami.

W dniach, kiedy towarzysze Gierek i Jaroszewicz pracowali na wielu frontach, dwojąc się i trojąc, naradzając, przemawiając, rozmawiając, tłumacząc i słuchając — w robotniczym mieście panowała błoga cisza.

Lokalne władze, zadowolone z siebie, rozpuszczały opinie: u nas nie będzie zmian, bośmy przecież w grudniu utrzymali spokój. Pierwszy sekretarz utrzymał w Łodzi szkołę filmową, którą wciąż chcą przenieść do Warszawy. Przewodniczący miejskiej rady przeciął rekordową ilość wstępów i przypiął dużo odznak. A więc właściwie nie jest tak źle. To nic, że sekretarz zapomniał, iż kiedyś był przewodniczącym Związku Włóknarzy. To nic, że przewodniczący rady nie przyszedł na zapowiadane spotkanie z załogą „Olimpii”, a było to w połowie stycznia!!! Utrzymali spokój, wszystko w porządku.

Tymczasem fala żalu przybierała na sile. Proletariat łódzki, o którym znawcy z zacięciem socjologicznym mówią „potulny”, „babski”, „schórzliwy” — rzekomo niezdolny do wysunięcia jakichkolwiek żądań, bo zaharowany przy krosnach i garach — przemówił nagle innym głosem.

W środę, 10 lutego, ustała nagle praca na wydziale przedziałni odpadkowej Zakładów im. Marchlewskiego. Takim był początek łódzkiego strajku. Natomiast jego bezpośrednią przyczyną (można by powiedzieć: zapalką) stała się — jak mi oświadczyli dyrektorzy zakładów i towarzysze z Wydziału Propagandy KŁ — „balaganiarska działalność polskiej telewizji”. W reportażu z Wybrzeża indagowany stoczniowiec wyraził rzekomo radość z powodu znacznej, obejmującej większość robotników, podwyżki płac, co było wierutną bzdurą, ale silnie rozgniewało włóknarzy. I też zażądali podwyżki. Najpierw dwudziestopięćprocentową, a później — dwudziestoprocentową.

Dalszy ciąg na str. 3

Warszawskie Spotkania są świętem polskiej sceny. Oczekuje się na nie co roku z wielką niecierpliwością. Na scenę trafiają, owiane legendą, nobilitowane przez krytyków, obdarzone wieloma komplementami, pozawarszawskie spektakle. Miłośników teatru nie zraża to, że w przeszłości, przygotowani na wielką, artystyczną ucztę, doznawali niekiedy dotkliwego rozczarowania. Ta najpoważniejsza impreza teatralna w kraju, którą interesują się również zagraniczni znawcy sztuki wielokrotnie wskazywała na regres treści i myśli, a także na to, że współczesny teatr polski stać było jedynie na ciekawą aranżację, będącą w istocie tylko atrakcyjną atrapa, z której emanowała pustka, nicłość, brak idei, a także niemożność (uwarunkowana kontekstem politycznym) wypowiedzenia oczywistych prawd. Najczęściej prawdziwy teatr milczał — grały formy, pozory i niedomówienia. Z wielkiej ilości przedstawień słabych i przeciętnych trudno było wyłowić spektakle ciekawe, brakowało wybitnych. Te, które wybrano, były raczej odświętną szatą — pozorem, fasadą, za którą kryła się powszechnie jałowość — prawdziwie oblicze polskiej sceny. Zbyt mało pisano o złych przedstawieniach, niestosowanych zjawiskach i niezdrowych me-

chanizmach występujących w teatrze, by cokolwiek uległo zmianie na lepsze.

W 1977 roku odnotowano poza Warszawą zaledwie jedno wydarzenie („Wesele” Wyspiańskiego w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego z Teatru Starego w Krakowie) — zamykało ono XIII spotkania teatralne

JERZY KOSIEWICZ

## NIE WSZYSTKO PO STAREMU

(Po XVI Warszawskich Spotkaniach Teatralnych)

Kolejne (XIV) oceniono jako nużące, nijakie i nudne (Teresa Krzemińska), choć można było w nich zobaczyć klejnoty reżyserskiej i aktorskiej roboty tej miary, co: „Z biegiem lat, z biegiem dni” Andrzeja Wajdy (Teatr Stary) czy „Spór” według Pierre’a Miravaux, w inscenizacji Henryka Tomaszewskiego (Pantomima Wrocławska). Następnie dokonano rewizji kryteriów selekcji i w efekcie w jubileuszowych — XV spotkaniach ujrzelśmy zestaw spójny i klarowny, złożony z czterech sztuk interesujących i

ambitnych, dobranych według określonego klucza ograniczającego wybór do jednego tematu — do sprawy polskiej.

XVI Warszawskie Spotkania Teatralne, zorganizowane z dwumiesięcznym opóźnieniem, prawdopodobnie na stałe wymazały tradycyjny, grudniowy termin. Organizatorzy imprezy wpro-

wadzili kolejną zmianę — dołączyli do styczniowo-lutowego przeglądu dodatkowo dwa spektakle z bieżącego sezonu („Rewizor” Gogola — reżyseria Jerzego Jarockiego, Teatr Stary i „Ameryka” według Kafki, w reżyserii i adaptacji Grzegorzewskiego, Teatr Polski z Wrocławia), a następnie dodał jeszcze dwa zaległe wydarzenia teatralne z 1979 roku („Hamlet — ironia i żaloba” według Szekspira, adaptacja i reżyseria Tomaszewskiego i „Vatylaw” Sławomira Mrożka, reżyseria Kazimierza Dejmka

Teatr Nowy w Łodzi) — w rezultacie w spotkaniach znalazła się zaledwie jedna sztuka (!) z dorobku minionego sezonu („Sto rąk, sto sztylców” Jerzego Żurka, reżyseria: Jerzy Krasowski, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie). Uległa zatem radykalnej zmianie formuła doboru spektakli, bo-

wiem selekcją objęto aż trzy sezony teatralne. W gruncie rzeczy jednak, w tegorocznym przeglądzie, tak naprawdę liczyły się dwa wybitne utwory „Vatylaw” i „Hamlet”; owe mistrzowskie kompozycje, harmonijnie łączące formę i treść, znakomicie korespondowały z oczekiwaniami i nastrojem, wybrednej przecież, widowni. W pozostałych utworach większą rolę niż treść, odgrywała ich forma sceniczna. W przedstawieniu Krasowskiego wyeksponowano założenia teatru otwartego — do akcji

została włączona widowtna wraz z balkonami, sceną i farytuchem. Jarocki w „Rewizorze” rzucił wyzwanie normatywnym zaleceniom dramaturga i wprowadził sprzeczne z duchem Gogola własne pomysły sceniczne. Natomiast w „Ameryce” urzeka przede wszystkim sprawność warsztatu; treść sztuki stanowi

wości reżysera, będący również ekspozycją piękną i harmonii ludzkiego ciała. Lecz w tym zachwycającym spektaklu było coś pustego, a także żal, że tyle wspaniałości teatru wykorzystano jedynie na przedstawienie balamutnego sporu dwojga arystokratów. W obecnie prezentowanym programie Tomaszewski zawarł swe najlepsze doświadczenia reżyserskie z poprzednich utworów — perfekcyjny przekaz, doskonałe wycucie stylu i gatunku, urzekająca myśl estetyczna — jego „Hamlet” imponował głębią przemyśleń, wnikał w tajniki różnorodnych ludzkich namiętności, ukazał skomplikowane mechanizmy człowieczej duszy. Tomaszewski zaproponował odmienne rozumienie losów Szekspirowego bohatera. „Hamlet — ironia i żaloba” wyeksponował, zgodnie z tytułem, inne kierunki interpretacyjne. Utwór nawiązuje do losów postaci dramatów Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa znaczących zmitologizowaną historię Teb — postaci tragicznych, powodowanych nieuchronnie spełniającą się wolą przeznaczenia. Hamlet w znakomitej interpretacji Marka Oleksego, to postać stała, ale umiejąca przeciwstawić się wyro-

Dalszy ciąg na str. 9

Łódź

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 9 (1212) ROK XXIV

1 MARCA 1981 R.

CENA 3 ZŁ

ANDRZEJ  
MAKOWIECKI

## GŁUCHE KROSNA



Luty 1971 roku w ZPB im. J. Marchlewskiego w Łodzi. „Ustała nagle praca w wydziale przedziałni odpadkowej Zakładów im. Marchlewskiego”.

Foto: J. Katarasiński

Na Dworcu Głównym we Wrocławiu ogromny transparent: „Realizacja porozumień społecznych z 1980 roku”, a tuż obok dyżurni informatorzy. Za chwilę już mam w ręce plan jutrzejszej konferencji, wiem, jak trafić na Politechnikę, gdzie zamówić materiały. Dobra organizacja.

Po konferencji łódzkiej, poświęconej reformie gospodarczej, bydgoskiej — problemom żywieniowym, „Solidarność” wrocławska i Komisja Porozumiewawcza Nauki we Wrocławiu przygotowały ogólnopolską naradę poświęconą realizacji porozumień podpisanych w sierpniu ub. roku. Referenci, głównie pracownicy nauki uczelni wrocławskich i

MAŁGORZATA  
GOLICKA

## PO— ROZUMIENIA

warszawskich, przedstawili zebranym analizę realizacji porozumień do dnia 14 lutego br., tj. do dnia konferencji.

Informacje dotyczyły więc czasu przeszłego i przy obecnym tempie życia może się zdarzyć, iż niektóre z nich będą już nieaktualne, kiedy ten numer „Odgłosów” trafi do rąk czytelników.

Interesujące były teoretyczne, wstępne rozważania poświęcone porozumieniom i stanowieniu prawa. Przyjęło się twierdzenie, iż w sierpniu zawarto umowę społeczną między przedstawicielami strajkujących załóg, a reprezentantami rządu. Po raz pierwszy w historii 35-lecia PRL doszło do zawarcia takiej umowy na piśmie. Czy jednak trafne jest operowanie pojęciem umowy społecznej, zwłaszcza dziś, po sześciu miesiącach od podpisania tych historycznych dokumentów?

Dalszy ciąg na str. 4



## AKTUALNOŚCI

W bieżącym roku, podobnie jak w latach poprzednich, Łódź będzie organizatorem i gospodarzem wielkiej, międzynarodowej imprezy: „Spotkań Baletowych”. Tegoroczne spotkania odbywać się będą w dniach 27.V-7.VI. Udział w nich zapowiedziały zespoły i soliści z Polski i zagranicy. Gościć będziemy m.in. zespół Lara Lubowiticha, marsylijską grupę Rolanda Petit, Borysa Eymfana, który przedstawi swój leningradzki zespół, kubański balet Alicji Alonso, a także zespół „Rococco” z Pragi. Dwukrotnie wystąpi zespół baletowy Teatru Wielkiego w Warszawie, przyjedzie także Polski Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego. Bogaty program na Spotkaniach zaprezentują artyści łódzcy, przedstawia on „Symfonię Faustowską” F. Listy w realizacji Jerzego Makarowskiego oraz „Trzy głosy” — debiut choreograficzny Ewy Wychowskiej, Dobrosławy Gutek i Kazimierza Wrzoska. W programie spotkań przewidziany jest także wieczór gwiazd.

Łódzki „Se-ma-for” jest głównym organizatorem Przeglądu Konkursowego o nagrodę im. Zenona Wasilewskiego. W przeglądzie który odbywa się co dwa lata, biorą udział filmy animowane dla dzieci. W zakończonym właśnie konkursie brały udział 23 filmy reprezentujące studia:

## KRONIKA KULTURALNA

Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej, Filmów Animowanych w Krakowie, Miniatur Filmowych w Warszawie i Łodzi „Se-ma-for”. Mito nam doniosło, że jury tegoroczna nagrodę im. Zenona Wasilewskiego przyznało filmowi „Sekundeczka”, zrealizowanemu w „Se-ma-forze” przez smaragowego niedawno Edwarda Sturliisa, zdjęcia do filmu wykonał Piotr Jaworski, a muzykę skomponował Stanisław Prósznki.

Z inicjatywy Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego im. K. Szymanowskiego, w minioną sobotę odbył się w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej koncert kameralny. Wykonawcami koncertu byli: B. Strzelecka — klawesyn, C. Pawłowski — flet i A. Wróbel — wiolonczela. W programie znalazły się utwory Vivaldiego, Frobergera, Merulli Purcella i Ripperta.

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Łódź-Sródmieście, redakcja „Karuseli”, Estrada Łódzka, ŁDK i Klub Pracowników Łączności „Teleks” są organizatorami Ogólnołódzkiej Akcji Kabaretów Amatorskich „Laka 81”. W przeglądzie mogą wziąć udział amatorskie zespoły kabaretowe. Bilansy Informacji udziela Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Łódź-Sródmieście.

Teatr im. Stefana Jaracza zaprasza 27 i 28 lutego na ostatnie przedstawienie sztuki Edmunda Redlińskiego „Pustaki”. Przeprowadzą je reżyserem sztuki był Feliks Falk.

Kilka dni temu w Klubie Nauczyciela (Piotrkowska 137) przedstawiono widowisko muzyczne pt. „Kolorowe Kondki”. Widowisko przygotowała Estrada Piosenek Klubu Nauczyciela.

We wtorek, 24 lutego, w Klubie Dzielnikarza otwarta została wystawa rysunków i grafiki Jerzego Cieleckiego.

24 lutego, w Salonie Sztuki Wszechczesnej (Piotrkowska, 86/88) otwarta zostanie wystawa prac Tadeusza Romana.

Wielkim wydarzeniem politycznym towarzyszą zazwyczaj wielkie słowa. Na naszych łamach odstepujemy od tej tradycji, ale kilku refleksji w kontekście XXVI Zjazdu KPZR nie sposób rozpocząć inaczej niż: oczy całego świata zwrócone są na Moskwę. Także my w Polsce mamy wiele nader oczywistych powodów by podzielać owe powszechne zainteresowanie. Zainteresowanie głębokie i żywe, ale także coś więcej niż wynika z ciekawości postronnego obserwatora. Myślę o partnerstwie, przyjaźni i politycznych racjach, które wielowątkowo splatają stosunki między naszymi krajami i partiami. Myślę o wielkości spraw, które nas łączą na dobre i złe, które zawsze miały swoją wagę a obecnie jakby ich ciężar gatunkowy zwielokrotnił się i urealniał bardziej niż kiedykolwiek.

Nie trzeba odpowiadać: dlaczego? Obserwujemy z niepokojem świat i kierunek w jakim zmierza od pewnego czasu. A czy mieliśmy przez ostatnie pół roku chociaż jeden dzień bez głębokiej troski i ścisłających serce obaw o nasze własne sprawy. I czy ten świat, powiedzmy że tylko podzielony, nie przyglądał się nam z nieufnością a czasami irytacją. Towarzyszyła nam również wiara przyjaciół, że potrafimy skutecznie pokierować własnymi sprawami. Wiele obecnie wskazuje, że tak będzie, bo inaczej być nie może. I w tej chwili każdy znak potwierdzający naszą wolę spokoju i stabilizacji jest bezcenny. Dla całego świata, ale szczególnie dla naszego kraju. Ośmiopunktowy program zachowania pokoju zawarty w przemówieniu Leonida Breżniewa jest tym czego mogliśmy się spodziewać, ale czego oczekiwaliśmy, co musi doprowadzić do ponownego odprężenia i współpracy. Ta jedyna droga nie może mieć alternatywy. Waga argumentów przedstawionych przez radzieckiego przywódcę, jednoznaczność przedłożonej Zjazdowi koncepcji kontynuowania i rozwinięcia programu pokoju w warunkach gdy wzrosło jego zagrożenie, raz jeszcze potwierdziły jak partia Lenina pojmuje swą odpowiedzialność za losy swego kraju i świata. Polityka równowagi sił między ZSRR i USA, między układem warszawskim a NATO oceniona została także jednoznacznie. „Nie dążyliśmy i nie dążymy do osiągnięcia przewagi wojaskowej, nie jest to nasza polityka. Jednakże nie pozwolimy na osiągnięcie takiej przewagi nad nami. Podobne próby a także rozmowy z nami z pozycji siły są absolutnie daremne. „Pierwsze reakcje Zachodu mogą świadczyć, że te stanowcze słowa idące w parze z konkretnymi propozycjami rozwiązań zapalnych



## ZJAZD NOWYCH PERSPEKTYW

problemów różnych rejonów świata, nie zostaną bez odpowiedzi.

Najwyższe forum 17-milionowej partii ma przede wszystkim nakreślić drogi rozwoju Kraju Rad i strategię przyszłego 5- i 10-letnia, wytycząc zadania stojące przed radzieckim społeczeństwem i jego awangardą — partią. Dokonano również oceny minionego 5-letnia. Jak wszędzie i w Związku Radzieckim nie był to okres łatwy. Możliwość postępu i przyspieszenia rozwoju gospodarczego zależy od wielu czynników i zostały one wyczerpująco omówione. Zwroćmy tylko uwagę na to, co szczególnie podkreślono w wystąpieniu sekretarza generalnego KPZR: potrzebę dalszego postępu socjalistycznej integracji. KPZR podobnie jak wszystkie partie obozu socjalistycznego zdecydowane są najbliższe

dziesięciolecie uczynić okresem intensywnej kooperacji produkcji i szerokiej współpracy naukowo-technicznej. Przeszłość potwierdziła zarówno wielostronne korzyści i konieczność podziału pracy, ale także i to, że wiele w tej materii zostało jeszcze do zrobienia.

W przemówieniu Leonida Breżniewa znalazły się także obszerne fragmenty dotyczące sytuacji w Polsce. „Towarzysze polscy pracujący obecnie nad tym, aby przezwyciężyć kryzysową sytuację. Dążą do zwiększenia zdolności bojowej partii, umocnienia więzów z klasą robotniczą, ludźmi pracy, opracowują konkretny program uzdrowienia polskiej gospodarki. Ważnym poparciem politycznym dla socjalistycznej Polski było spotkanie przywódców państw-członków Układu Warszawskiego w Moskwie

w grudniu ubiegłego roku. Spotkanie to wykazało jasno: komunisty polscy, polska klasa robotnicza, ludzie pracy tego kraju mogą absolutnie polegać na swoich przyjaciółach i sojusznikach, socjalistycznej Polsce, bratniej Polsce nie opuścimy w biedzie i nie damy jej skrzywdzić! Wydarzenia w Polsce, to nowy przekonujący dowód, jak ważne jest dla partii, dla umocnienia jej kierowniczej roli wnikliwe przysłuchiwanie się głosowi mas, zdecydowana walka ze wszelkimi przejawami biurokracizmu, woluntaryzmu, aktywny rozwój demokracji socjalistycznej, prowadzenie realistycznej, wyważonej polityki w kontaktach ekonomicznych z zagranicą.”

Nie są to dla nas, członków PZPR, słowa miłe, ale sprawiedliwe i w istocie solidarne. Tak, niestety, było w ostatnim dziesięcioleciu. Sami na VI, VII i VIII Plenum KC oceniliśmy się jeszcze surowiej w duchu demokratycznej odnowy, w imię nie skażonego wypaczeniami socjalizmu. Potwierdził to w drugim dniu obrad Zjazdu i sekretarz KC PZPR Stanisław Kania przy ogromnym aplauzie pięciu tysięcy delegatów, kiedy zdecydowanie stwierdził, że „...w Polsce kontrewolucja nie przejdzie.”

Bolesne doświadczenia naszego kraju, dramat jakiej przeżyła nasza partia, nie są już echem przeszłości. Chcemy bardzo żeby stało się tak możliwie najprędzej, a jak wiadać, chcą tego nasi przyjaciele i ofiarują swoją pomoc. I co nie mniej ważne, zrozumienie naszych spraw, które po swojemu musimy rozwiązać. Showa te trzeba zaakcentować w odniesieniu do przypominanej z trybuny Zjazdu specyfiki narodowej i historycznych odrębności krajów socjalistycznej wspólnoty. W różnorodności form ich życia społecznego — stwierdził L. Breżniew — i organizacji ekonomiki należy widzieć to co jest w rzeczywistości: bogactwo dróg i metod umacniania socjalistycznego sposobu życia.” To jedynie autentyczna marksistowsko-leninowska wykładnia od dziesiątków lat mająca prawa obywatelskie, ale nie całkiem wykorzystywane.

Stoimy przed tak trudnym etapem naszej drogi, że jeśli chcemy odnieść trwały sukces, musimy wykorzystać zarówno pomoc i doświadczenie naszych przyjaciół, a także śmiało animować te wszystkie koncepcje (i energicznie wcielić je w życie), które wyrosły jedynie na naszej glebie. Nas mogą umocnić i pomnożyć wspólne, socjalistyczne skarbnie. Ale to już wniosek na IX Zjazd PZPR.

JERZY WAWRZAK

Rozpoczęły się obrady XXVI Zjazdu KPZR. Jak zwykle — z udziałem zaproszonych delegacji partii komunistycznych i robotniczych. Na czele delegacji polskiej stoją I sekretarz KC PZPR — Stanisław Kania i premier Wojciech Jaruzelski.

## TYDZIEŃ W POLITYCE

Zjazd radzieckiej partii jest zawsze dużym wydarzeniem dla całego międzynarodowego ruchu robotniczego, jego obrady obserwowane są z uwagą na różnych kontynentach. Tym razem zainteresowanie jest jeszcze większe, gdyż obraduje on w złożonej sytuacji międzynarodowej. Ostatnie lata popsuły klimat międzynarodowy, na Zachodzie do głosu dochodziły siły, których celem jest zaostrenie kursu i rozwój zbrojenia. Proces odprężenia został jakby przyhamowany. Dialog, choć w różnej formie trwa, nie przynosi oczekiwane go postępu. Wszystko to razem nie tworzy korzystnej atmosfery.

Mimo tych powikłań Związek Radziecki i inne kraje socjalistycznej wspólnoty przejawiają wciąż inicjatywę, poszukują i podpowiadają drogi ustabilizowania odprężenia i jego rozwoju. Zachowują aktualność ocena i propozycje z maja ub. roku, z narady Doradczego Komitetu Politycznego Państw-Stron Układu War-

szawskiego. W Nowym Jorku — na sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ i w Madrycie — na spotkaniu państw sygnatariuszy Aktu Końcowego z Helsinek inicjujemy nowe przedsięwzięcia pokojowe. Trzeba przecieć usunąć napięcia i spruć porozumień, ograniczających zbrojenia. Ich dalsza eskalacja zagroziłaby wprost pokojowi i bezpieczeństwu narodów. Realne jest niebezpieczeństwo produkcji i wyposażenia wojsk w nowe generacje broni jądrowej i to wówczas, gdy arsenały dostawnie pękają w szwach. Trzeba też budować mosty zaufania, w ostatnich kilkunastu miesiącach wyraźnie nadwerżonego. To są po prostu nakazy współczesności.

Słowa te przekazujemy do drukarni w czasie trwania obrad XXVI Zjazdu KPZR. Nikt nie ma wątpliwości, że najwyższe forum radzieckiej partii zaleci rządowi kontynuowanie kursu na odprężenie, pokój i współpracę międzynarodową. Ta pewność wynika z radzieckiego programu pokoju, przyjętego przed 10 laty i pokojowej inicjatywności radzieckiej dyplomacji.

Nie ma natomiast pewności, jak zamierza ułożyć stosunki amerykańsko-radzieckie prezydent Reagan. O jego wypowiedziach sprzed kilkunastu dni informowaliśmy, pisaliśmy także o konferencji prasowej sekretarza stanu — Haiga. Na łamach prasy amerykańskiej temat ten podejmowany jest dość obszernie. „Washington Post” w artykule pt. „Strategia Haiga” pisze na przykład:

„Administracja Reagana z całą świadomością podnosi napięcie w stosunkach z ZSRR. Celem tej taktyki jest tylko częściowe wywarcie wpływu na Moskwę. Sekretarz stanu uważa, że podnoszenie napięcia stwarza dogodną atmosferę dla

poprawy amerykańskiej pozycji w wielu punktach świata...”

I dalej:

„Celem postępowania Haiga nie jest jednak wielki kryzys w stosunkach z ZSRR. Wręcz odwrotnie. Chce utrzymać Moskwę w niepewności co do intencji Ameryki i w związku z tym w amerykańskiej postawie kryje się dwuznaczność”.

Jeśli omawiany artykuł oddaje rzeczywistość intencje nowego sekretarza stanu, a więc i nowej administracji amerykańskiej — nie może z takiej linii działania Waszyngtonu wynikać nic dobrego dla stosunków ze Związkiem Radzieckim. Największe mocarstwa, od polityki których zależy atmosfera międzynarodowa i postępowanie w rozwiązywaniu nabrzmiałych problemów, nie mogą prowadzić dwuznacznej gry. Nierealistyczne są też nadzieje Waszyngtonu, że amerykańsko-radzieckie rozmowy na temat ograniczenia broni strategicznej można uzależnić od radzieckiej polityki i postępowania w innych dziedzinach i częściach świata. — Czyż możliwe jest — pisze agencja „Nowosti” — „żądanie od Związku Radzieckiego ...wyrzeczenia się solidarności z ruchami narodowo-wyzwoleńczymi w zamian za przychylność Ameryki”?

Stany Zjednoczone zawsze znajdują w Związku Radzieckim partnera gotowego do rozmów i współpracy we wszystkich kwestiach, łączących się z redukcją poziomu militarnej konfrontacji między Wschodem i Zachodem, jednakże bez żadnych wstępnych warunków, bez żadnego juncim, o którym myśli Haig.

I z pewnością ta właśnie gotowość zgłoszona zostanie z trybuny XXVI Zjazdu KPZR. Można to przewidzieć, ponieważ znana jest i przestrzegana w praktyce linia polityki zagranicznej ZSRR.

W. SŁAWSKI

## Wybory u literatów

22 lutego br. na walnym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym spotkali się członkowie Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich. Wśród zaproszonych gości obecni byli: sekretarz KŁ PZPR, Jan Nosko i wiceprezydent m. Łodzi, Zbigniew Polik, wydawcy, dziennikarze.

Sprawozdanie w imieniu ustępującego zarządu wygłosił sekretarz ZO Jerzy Urbankiewicz. Stało się ono — podobnie jak przedstawiony przez Jana Huszcę protokół Komisji Rewizyjnej — inspiracją dla wielogodzinnej, burzliwej dyskusji, której główne tematy wyznaczyły problemy wewnątrzwiązkowe; niemniej w szeregu wypowiedzi znalazły się również sprawy wykraczające poza ramy Oddziału czy Związku, a dotyczące przyszłości polskiej literatury i kultury.

Zastanawiano się więc nie tylko nad sposobami konsolidacji środowiska, nad koniecznością poszerzenia pola dla inicjatyw oddolnych (i nie poprzestawania jedynie na inspiracjach Zarządu Oddziału czy ZG), ale i nad możliwościami ożywienia łódzkiego środowiska artystycznego i społecznego poprzez zwiększony udział pisarzy w decydowaniu o kształcie kultury w Łodzi — wzmocnienie głosu łódzkich literatów w mieście i w kraju. Mówiono o potrzebie jeszcze ściślejszej współpracy z instytucjami kultury (wskazano tu m. in. na szansę, jaką daje powołanie Stowarzyszenia Twórców Kultury), o zapewnieniu większego wpływu literatów na sytuację wydawniczą w Łodzi (tu wyjaśniono m. in. sprawy związane ze wznowieniem „Osnowy”, wskazano także na konieczność publikacji jubileuszowego wydawnictwa, poświęconego tradycjom literackim Łodzi na 40-lecie Oddziału).

Nawiązując do niedawnych wydarzeń studenckich, wiele miejsca poświęcono potrzebie bliższej współpracy pisarzy z młodzieżą i całym środowiskiem akademickim, w tym potrzebie zwrócenia większej uwagi na młodych twórców skupionych w Kole Młodych przy Ok. ZIP (chodził przede wszystkim o zapewnienie właściwych warunków debiutu).

Jeżeli natomiast w dyskusji znalazło się wiele akcentów ogólniejszych. M. in. dyskutowano o zapewnieniu takich form współpracy z władzami, w których pisarze mieliby zagwarantowany partnerski udział. Łódzcy pisarze podjęli również rezolucję żądającą przestrzegania w życiu publicznym zasad praworządności i sprawiedliwości społecznej.

Po dyskusji i udzieleniu absolutorium ustępującemu Zarządowi wybrano w tajnym, bezpośrednim głosowaniu prezesa OŁ ZLP Został nim — po raz trzeci — Jerzy Wawrzak. Wybrano także członków nowego Zarządu, który tego samego dnia ukonstytuował się następująco: wiceprezisi — Wanda Karczeńska, Władysław Orłowski, Jerzy Urbankiewicz, sekretarz — Tadeusz Błażejowski, skarbnik — Maria Sicińska, członkowie — Bogdan Pasternak, Jerzy Rzymowski i Mieczysław Szargan.

Wszystkim członkom Zarządu — którzy są jednocześnie pracownikami, współpracownikami lub naszymi stałymi autorami — serdecznie gratulujemy!

(T. SOL.)

## odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASINSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLIČKA, JACEK INDELAK, RYSZARD UCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOI DENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).  
Stałe współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.  
Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.



Dalszy ciąg ze str. 1

W czwartek, 11 lutego, kiedy w dalszym ciągu strajkował w mieście tylko ów jeden niewielki wydział, do Zakładów Marchlewskiego udał się na rozmowę z robotnikami minister Kunicki i były pierwszy sekretarz KŁ, Spychalski. Włókniarze podtrzymywali swoje alternatywne żądania: dwudziestoprocentowej podwyżki zarobków lub też przywrócenia dawnych cen żywności.

W piątek, 12 lutego, przybył do zakładów przewodniczący CRZZ, Władysław Kruczek oraz wicepremier Jan Miłgaj. Porozumienia nie osiągnięto. Niebawem ustała praca na kilku pozostałych wydziałach fabryki oraz w paru innych zakładach bawełnianych miasta. W „Gumówce” toczyły się ostre dialogi robotników z kierownictwem. W „Obrońcach Pokoju”, największej łódzkiej fabryce, która zatrudnia ponad jedenaste tysięcy ludzi, przerwa w pracy nastąpiła w nocy z piątku na sobotę, tuż po wypłacie, kiedy się okazało, że włókniarze otrzymali mniejsze, niż im to w styczniu przyrzekano, premie. — Niektórzy byli poszkodowani na 110 złotych — mówi pierwszy sekretarz KZ, Alfred Kurzawa. — Niektórzy, ci, co mieli w styczniu dwie wolne soboty, stracili 220. Ale byli również tacy, co nie mogli doliczyć się 300.

W sobotę, 13 lutego, strajk objął kilkanaście innych oddziałów w śledniu podstawowych zakładach bawełnianych. Nieraz maszyni stawali tylko na parę godzin, w trakcie których odbywały się dyskusje. W mieście panował przez wszystkie te dni absolutny spokój. Wbrew pobożnym życzeniom Wolnej Europy, nie było żadnych zakłóceń w handlu i komunikacji. Ulice wyglądały jak zawsze. W lokalach grała muzyka, jarzyły się kawiarnie i kluby, kina wyświetlały nocne seanse, w Palacu Sportowym toczył się mecz hokejowy.

W niedzielę, 14 lutego, sytuacja przedstawiała się podobnie. W godzinach popołudniowych w Teatrze Wielkim odbyło się spotkanie członków Biura Politycznego — premiera P. Jaroszewicza, przewodniczącego CRZZ — W. Kruczka, sekretarzy KC — J. Tejchmy i J. Szydłaka z wydelegowanym przez zakład fabryki łódzkiej aktywnym partyjnym i związkowym. Jak później sprawdziłem — „Marchlewski” nie wysłał na to zebranie ani jednego swojego przedstawiciela. Cytowaną przez „Głos Robotniczy” wypowiedź pracownika tych zakładów, Stanisława Komorowskiego, ludzie skwitowali następnego dnia jako oświadczenie osobiste.

Nie trafił Kuba do Boga, trafił Bóg do Kuby. W późnych godzinach wieczornych dyskusja przeniosła się na teren zakładów i trwała do piątej nad ranem. W trzy dni później pisano w łódzkiej prasie:

Atmosfera dialogu, w której obie strony czują się wobec siebie równe i dają temu w pełni wyraz, pogłębiała się zresztą z godziny na godzinę. Spotkanie w Teatrze Wielkim z racji na tak bardzo odmienne od fabrycznego tło, nie wyzwoliło jeszcze w dyskusjantach pełni śmiałości. Jeszcze nie wszyscy czuli się swojsko w wytwornej, wielkiej sali, w której przydytym z dostojnymi gośćmi znajdowało się na oddalonej od reszty uczestników scenie. Były to te same sprawy, które potem poruszali robotnicy na spotkaniach w „Marchlewskim” i „Obrońcach Pokoju”. To samo wypowiedziane „prosto z mostu” brzmi jednak całkiem inaczej...

— Dobrze się stało, żeście nas tu zaprosili — powiedział robotnikom tkalni C Zakładów im. Obrońców Pokoju J. Szydłak. — Gdybyśmy tu nie przyszli, to byśmy nie wiedzieli, jak tu jest. Tkalnia największa w Polsce, a popatrzysz — pada na głowę, zacieki co pięć metrów i gorąco, że nie można wytrzymać. Całkiem inaczej człowiek to sobie wyobraża, kiedy czyta „zakład największy w Polsce”, a całkiem inaczej, kiedy to obejrzy.

Spotkanie w „Obrońcach”, najpierw z robotnikami tkalni C, potem — wykończalni, było trzecim z kolei w tym dniu — po spotkaniu w Teatrze Wielkim i w Zakładach im. Marchlewskiego, i odbywało się dosłow-

wiem. Tkaczka wyrabia 200 zł progresji, a 300 zł płaci za błędy. Przedtem błąd kosztował 90 gr, teraz więcej. Rozumiemy walkę o jakość. Ale są błędy nie z winy tkaczy. Z różnych przyczyn — z tego nawet, że kapnie coś na tkaninę. Przy przeciekających dachach, przy opadających tynkach, to się często zdarza.

Skarżono się na obciążające fundusz płac przerosty administracyjne: — Czy musi być tylu kierowników?, Czy tych panierek i chłopczeków z biur nie można by przystać do nas na praktykę? Wytykano „nielogiczne” rozstawienie kadr: nieraz człowiek ze średnim wykształceniem technicznym pracuje jako mistrz, natomiast człowiek z ledwie ukończoną szkołą

mnie poinformował tow. Kapitan z Wydziału Propagandy KŁ — zdecydowaną większość fabryk bawełnianych w mieście.

Odwiedzałem te fabryki. Panował w nich wzorowy porządek. Liczne straże robotnicze trzymały wartę przy plotach, bramach i portierniach. Nie wpuszczano nikogo obcego z zewnątrz. Kontrolowano swoich: czy nie są pijani, czy nie przemycają na teren zakładów alkoholu. Nie wysuwano żadnych żądań politycznych. Nie domagano się nawet zmian w łódzkim aparacie władzy.

— Dlaczego nie pracujecie? — pytałem wychodzących na ulicę robotników. — Przecież po wizycie towarzyszy: Gierka i Jaroszewicza na

wili szaniec z puszek na śmieci, które płonęły smrodliwym ogniem. Jedni mieli nadzieję spiądrować sklepy, inni próbowali przez ploty i portiernię wdrzeć się do „Marchlewskiego”. Robotnicy odpędzali tych najśmielszych i najbardziej agresywnych.

— Nie słyszeliście o obniżce? — krzyczał przed fabryczne ogrodzenie stary tkacz.

— Ojciec, stanieje kiełbaski! — wrzeszczał drgał o tłustej, skołtunionej czuprynie. — Ale woda jeszcze nie staniała!

Ludzie z fabryki i z ulicy zaczęli rozglądać się nerwowo: gdzie milicja? dlaczego ich nie ma? gdzie się pochowali? dlaczego nie zaprowadzą porządku?

— Musieliśmy uważać, żeby nie się ostro nie stało — powiedział mi następnego dnia plutonowy Kazimierz Drzazga. — Stałiśmy u bram „Marchlewskiego”, niektórzy przechodzący robotnicy pozdrawiali nas uniesioną dłońią. Na szczęście udało się wszystkim bez ani jednej kropli krwi. A było gorąco. Sam musiałem coś się pod grałem flaszek. Jednego z naszych próbowali rozbroić — są w areście. Innego obalili benzyną i w ostatniej chwili przysnął przed płomieniem zapalnik. Więc oni resztkę tej benzyny podpalali lawki. A myśmy czekali aż odejdą w stronę parku. Po północy zdołaliśmy ich rozpedzić. Kilkunastu siedzi. A o nas mówią teraz całe miasto, żeśmy zdali egzamin, bo nikomu nawet zęb nie wyleciał...

Na szczęście nocny występ chuliganów przyszedł za sobą pociągłą. Po ogłoszonej w poniedziałek wieczór decyzji przestoje w pracy straciły właściwie rację bytu. Z tym większym zdziwieniem, a miejscami nawet z oburzeniem Łódź przyjęła wieść, że jeszcze we wtorek nie pracowano we wszystkich wydziałach „Obrońców Pokoju” i „Dzierżyńskiego”. Jak to? Od kogo wymagać dalszych wyrzeczeń — od nas, całego społeczeństwa? Na czym zasadzać nadzieje na wzrost stopy życiowej — na tej produkcji, która w poniedziałek, wtorek i środkiem nie zeszła z włóknierskich maszyn?

Strajk tlił się jeszcze we wtorek i środkiem. W „Obrońcach Pokoju” grupa mechaników uroiła sobie jakąś ustawę z 1926 roku, która rzekomo twierdziła, że zdobycze strajku są prawomocne, jeśli trwa on minimum 48 godzin. Większość załogi chciała podjąć jak najszybciej pracę, przecież ten łódzki proletariąt nie jest taki nieświadomy, za jaki mają go niektórzy znawcy o socjologicznym zacięciu. Ale kiedy jedna z włóknierki włączyła maszynę tkacką, któryś z prowodyrów wpadł w szal, wskoczył na parapet i krzyczał, zakładając sobie petle na szyję, że się powiesi. W „Dzierżyńskim” terror był jeszcze bardziej wyrazisty: pięciu uzbrojonych w noże wyrostków krążyło po hali grożąc pöderzniciem gardła każdemu, kto przystąpi do maszyny. Dziwne, że tolerowano ten terror, o wiele mniej konsekwentnie wyrażając wolę przystąpienia do pracy, niż kilka dni wcześniej jej przerwania.

Tak więc dopiero na trzeci dzień po obniżce cen żywności, w czwartek, 18 lutego, zagrały wszystkie krosna.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Foto: Jerzy Katarasński

## GLUCHE KROSNA

nie przy maszynach. Robotnice stały na belach nie wykończonych jeszcze tkanin, na wielkich przegładarkach i agregatach. Każdy chciał widzieć na własne oczy gościa, który NIE PRZEMAWIAŁ, A ROZMAWIAŁ NORMALNYM, CODZIENNYM JĘZYKIEM.

W brakarni zaproszonym podano krzesła, ale w wykończalni stali wśród robotników i nie tylko słuchali ich gorących, gorzkich wypowiedzi. Mówili sami (...) szczerze i przekonująco (...). Właśnie w wykończalni premier Piotr Jaroszewicz wygłosił swoje znakomite (piąte w tym dniu — przyp. A.M.) przemówienie. To mówił bardzo zmęczony człowiek do równie zmęczonych ludzi i mówił o sprawach ważnych, o sprawach państwa i ich — łódzkich włókniarzy (...), o potrzebie szczerości, prawdy i zaufania we wzajemnych stosunkach między klasą robotniczą a jej przywódcami (...), o kryzysie tego zaufania, o tym, że trzeba czasu, aby kryzys przezwyciężyć, aby zaufanie odbudować.

Litania włóknierskich załóg została wypowiedziana do końca. Od pilkarzy-darmonozjadów, zajmujących fikcyjne etaty, poprzez niechlujne stolówki, zatłoczone poczekalnie lekarskie, nieosiągalne wczy i sanatoria, aż po warunki pracy.

— Kumoterstwo — mówiono w „Obrońcach Pokoju”. — Nie istnieje u nas kierownictwo, tylko grupa kolegów. Są powiązania rodzinne — on, mistrz salowy, ona — tkaczka, on premię eksportową dostaje w jednym kwartale, ona — w drugim.

Falszywe normy wynagrodzeń, które nie uwzględniają różnicowanych typów maszyn, a więc stopnia trudności w ich obsłudze, skomplikowanej dodatkowo przez niejednolitą jakość surowca. — Wciąż reklamujemy osnowy. Jak osnowa zła, to błędy ciągną się przez cały proces produkcyjny. Reklamujemy, a kierownik mówi: — moje panie, co ja wam na to poradzę? Jeszcze się musicie do 1972 roku pomóc, potem będzie lepiej. — Dlaczego raz zarobiłam mniej a raz więcej — nigdy do końca nie

podstawową paneszy się jako mistrz. Podniesiono sprawę świadczeń, z których w większym stopniu korzystają pracownicy umysłowi, a w mniejszym fizycy. — rozdził między nami nienawiść, prowadząc często do otwartych starć.

Mówiono również o Łodzi, która jest drugim po Warszawie miastem, a od lat uchodzi za Kopuszka; o złym zaopatrzeniu sklepów w najważniejsze artykuły żywnościowe; o tym, że dopiero teraz, w styczniu i lutym, widać, czym jest dla budżetów rodzinnych grudniowa podwyżka...

Już przed niedzielą dyskusją minister Kunicki opracował projekt dokumentu o poprawie warunków pracy i podniesieniu uposażeń w łódzkich fabrykach. Kopie dokumentu, w którym wymieniono kwotę pół miliarda złotych, rozesłano po zakładach.

W trakcie nocnych rozmów Kunicki powiedział („Dziennik Łódzki”, czwartek, 18 lutego 1971 roku):

Te sprawy, wynikające z systemu płac, będziemy chcieli rozwiązać w sposób bardzo szybki. Komisja resortowa przedstawi nowe formy obliczania płac, uprościwszy ten system. Wypadki obniżenia zarobków trzeba przeanalizować. Nie może być np. w żadnym razie obniżona cena dla tkacza za ten sam asortyment. Chyba to jakieś nieporozumienie U was, na tkalni, przy tej ogromnej ilości asortymentów, może się to zdarzyć.

A przecież, mimo tych dokumentów i oświadczeń, mimo tych wielogodzinnych nocnych, szczyrych rozmów najwyższych władz partyjnych i państwowych z robotnikami, w czasie których ślaniające się z wyczerpania strony powiedziały sobie w żywe oczy wszystko, co było do powiedzenia — mimo tego...

W poniedziałek, 15 lutego, krosna w dalszym ciągu pozostały milczące i głuche. Zamaryły nagle zakłady im. F. Dzierżyńskiego. Strajk rozprzerstrzenił się na kilkanaście innych przedsiębiorstw, obejmując — jak

Wybrzeżu, stocznicy natychmiast podjęli robotę.

Odpowiadali: — W stocznicach pracują mężczyźni, a w naszych fabrykach — kobiety. Do bab, panie seffie, trzeba mówić inaczej, trzeba do nich trafić przez żółtek.

I tak się stało. O godzinie ósmej wieczorem, kiedy w malej, żądnymionej salce klubu studentckiego „Eskulap” odpowiadałem na ostre, agresywne zarzuty młodzieży pod adresem prasy, jedna z dziewcząt przyniosła wiadomość, że premier ogłosił właśnie cofnięcie grudniowej podwyżki cen żywności. Zebrani z początku podejrzewali żart, potem upewnili się i ucieszyli, wrzeszcze zaczęli zastanawiać. Czy to dobrze, czy źle? Czy życie na kredyt nie spowoduje kolejnych trudności gospodarczych? Czy decyzja władz, konieczna, ale trudna i ryzykowna, nie zostanie potraktowana jako wymuszone zwycięstwo?

Zastanawiałem się nad tym, wracając do domu tramwajem. Na placu Wolności tramwaj przystanął. Wsiadłem: na Nowomiejskiej stał długi rząd pustych, oświetlonych wagonów. To samo na Zachodniej. Zatarasowane jezdnie, nieprzebrany tłum. Sądziłem, że przerwali pracę tramwajarze. Później, że ludzie wiwatują na cześć decyzji o anulowaniu podwyżki. Ale sprawa wyglądała inaczej. W chwili, kiedy „Marchlewski” szykował się do rozruchu, kiedy napowróć zagrały krosna w większości łódzkich fabryk — w bałuckim „parku śledzia”, tuż obok zakładów Marchlewskiego, rozpoczęła się bandycko-chuligańska heca. Po doświadczeniach Wybrzeża, gdzie w pierwszym momencie chuliganami nazwano robotników, dziennikarz musi podwójnie odpowiedzialnie pisać takie słowa, ale byłem przy tym i widziałem. Tabuny pijanych, długowłosych wyrostków, którzy jak szczerzy zbiegli się tutaj ze wszystkich dzielnic miasta, uzbrojeni w noże, stalowe pręty, z butelkami piwa w kieszeni — rzucili się do parkowych ławek, zabarykadowali nimi tory tramwajowe, usta-



Luty 1971 r. w ZPB im. J. Marchlewskiego. „W stocznicach pracują mężczyźni, a w naszych fabrykach kobiety”.



Dalszy ciąg ze str. 1

J. Godkowiak z Wrocławia sugerował, iż słuszniejze byłoby określenie sięgającej polskiej tradycji historycznej. Miał tu na myśli Artykuły Henrykowskie, określające uprawnienia króla, swolisty warunek akceptacji władzy królewskiej przez społeczeństwo. Zdaniem referenta, porozumienia sierpniowe są także dążeniem do osiągnięcia ładu społecznego, ładu opartego na kontrolowaniu władzy przez społeczeństwo. Jeśli już sięgamy do rodzimej przeszłości — mówił referent — to warto także przypomnieć słowa rektora Akademii Krakowskiej, Pawła Włodkowica z Brudzenina, który już w XV wieku wypowiedział znamienne słowa: „Zgoda rządzonych jest warunkiem rządzenia rządzących”.

Jak zatem, w 1981 roku, wypadła społeczna kontrola realizacji zawartych porozumień? Weźmy dla przykładu ustalenie 1 ze Szczecina, zbieżne z treścią odpowiedniego punktu porozumienia gdańskiego: „Uzgodniono, że w oparciu o opinię ekspertów, będą mogły powstać samorządne związki zawodowe, które będą miały socjalistyczny charakter, zgodny z Konstytucją PRL, przy przyjęciu następujących zasad: komitety strajkowe z chwilą zakończenia strajku stają się komisjami robotniczymi, rozpisują one w miarę potrzeby, powszechne, bezpośrednie, tajne wybory do władz związków zawodowych. Prowadzone będą prace nad przygotowaniem ustawy, statutu i innych dokumentów, określonych w art. 3 Konwencji nr 87. W tym celu opracowany zostanie odpowiedni harmonogram pracy”.

Opaczny jest stwierdzenie — mówił A. Lenkiewicz podczas wrocławskiej konferencji — iż ustalenie to zostało całkowicie zrealizowane. Prawdą jest, że Rada Państwa uchwałą z dnia 13.9.1980 r. dała możliwość rejestracji nowych związków zawodowych (dotychczas zarejestrowano przeszło 60), a Sąd Najwyższy 10 listopada ub. roku zarejestrował NSZZ „Solidarność”. Do tej pory trwają jednak prace nad przygotowaniem ustawy, statutu i innych dokumentów określonych w art. 3 Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy, dotyczących wolności związkowych. Chodzi tu przede wszystkim o ustawę o związkach zawodowych, samorządzie robotniczym i ustawę nowelizującą kodeks pracy.

Od sierpnia ub. roku rząd nie wydał żadnych przepisów regulujących przejściową sytuację, jaka powstała w wyniku rejestracji nowych związków. Brak tych przepisów przy pluralizmie związków zawodowych stwarzał nie tylko wiele problemów dla radców prawnych ale także doprowadzał do powstania wielu kwestii spornych, które wynikały na przykład podczas podpisywania umów między resortem, a trzema związkami tej samej branży, np. kolejarzy czy włóknarzy.

Najbardziej zaawansowane są prace nad ustawą o związkach zawodowych. Są to, co prawda, tylko założenia, ale — zdaniem referentów — pogłębione i dojrzałe. I tu nie brak kwestii dyskusyjnych. Założeniem ustawy powinno być, iż związki zawodowe zajmują się w Polsce ochroną spraw pracowniczych. „Solidarność” stoi na stanowisku, iż w naszym kraju związki nie mogą ograniczać swej działalności tylko do ochrony spraw pracowniczych, ale powinny zajmować się ochroną spraw ludzi pracy, niezależnie od

środowiska zawodowego. Poza tym, w myśl dotychczasowych przepisów, droga do przynależności związkowej otwarta jest tylko dla tych osób, które są zatrudnione zgodnie z umową o pracę. Poza prawami związkowymi pozostają np. taksówkarze, przedstawiciele wolnych zawodów, rolnicy, rzemieślnicy. Są to kwestie, które wymagają bezwzględnego rozwiązania. Projekt ustawy został przekazany w grudniu przedstawicielom związków, a po wniesieniu poprawek ma być poddany społecznej konsultacji. Do publicznej wiadomości przedostaje się jednak bardzo niewiele informacji na ten temat.

Na opracowanie i wydanie czeka także ustawa nowelizująca kodeks pracy oraz ustawa o samorządach robotniczych.

Najsluszniej byłoby — sugerowali przedstawiciele „Solidarności” we

grup pracowniczych, a przede wszystkim plac najniższych. Uzgodniono jako zasadę, że płace będą podnoszone w poszczególnych zakładach i grupach branżowych. Podwyżki będą realizowane przy uwzględnieniu specyfiki zawodu i branż, w kierunku podwyższenia uposażenia o jedną tabelę plac, bądź odpowiedniego zwiększenia elementów plac lub grupy zaszerogowania. W odniesieniu do pracowników umysłowych przedsięwzięciem podniesienia uposażenia o jedną kategorię osobistego zaszerogowania”.

Ponadto, po sierpniu, przedstawiciele wielu związków branżowych, a także NSZZ „Solidarność”, podpisali z ministrami resortu osobne porozumienia w sprawie realizacji podwyżek plac. W PKP we Wrocławiu trwają jeszcze negocjacje z resortem. Ogólna informacja na temat realizacji porozumień placowych

grup pracowniczych, a przede wszystkim plac najniższych. Uzgodniono jako zasadę, że płace będą podnoszone w poszczególnych zakładach i grupach branżowych. Podwyżki będą realizowane przy uwzględnieniu specyfiki zawodu i branż, w kierunku podwyższenia uposażenia o jedną tabelę plac, bądź odpowiedniego zwiększenia elementów plac lub grupy zaszerogowania. W odniesieniu do pracowników umysłowych przedsięwzięciem podniesienia uposażenia o jedną kategorię osobistego zaszerogowania”.

Zgodnie z ustaleniami rządowi pozostawiono 3 miesiące do przekazania Sejmowi projektu o cenzurze. Tymczasem dopiero w listopadzie ub. roku rozpoczęto rozmowy na ten temat. Opracowano dwa projekty: rządowy — w Ministerstwie Sprawiedliwości, przy pomocy członków Rady Legislacyjnej oraz tzw. projekt

kres tajemnicy państwowej i gospodarczej określa ustawa.

Novum obydwu projektów stanowią tzw. wyłączenia spod kontroli cenzury. Np. według projektu rządowego cenzurze nie podlegałyby sprawozdania z jawnych posiedzeń Sejmu i komisji sejmowych, publikacje statystyczne podlegające kontroli GUS, podręczniki szkolne i pomoce dydaktyczne, prace przejściowe i magisterskie, a także prace doktorskie i habilitacyjne, publikacje naukowe PAN oraz państwowych instytutów naukowych, druki artystyczne, polskie filmy fabularne, kierowane do rozpowszechniania przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, i inne. Istotna różnica dotyczy kontroli czasopism, biuletynów i gazet przeznaczonych na użytek wewnętrzny. Projekt rządowy, w art. 5 pkt. 2 głosi, iż: „nie podlegają cenzurze druki organów władzy, administracji państwowej, wymiaru sprawiedliwości i prokuratury, Komitetu Frontu Jedności Narodu, stowarzyszeń wyższej użyteczności, organizacji politycznych i młodzieżowych, związków zawodowych oraz państwowych i spółdzielczych instytucji i jednostek gospodarczych, przeznaczonych na użytek ich jednostek organizacyjnych z wyjątkiem gazet, biuletynów i czasopism. Natomiast projekt społeczny, art. 4 pkt. 10 wyłącza te publikacje spod kontroli cenzury: „nie podlegają kontroli publikacje organizacji politycznych i społecznych, związków zawodowych, związków wyznaniowych i stowarzyszeń przeznaczonych dla ich członków i opatrzone taką klauzulą”. Rozbieżności między projektami, przy obecnej, znacznej liczbie publikacji związkowych, mogą stanowić — powtarzano wielokrotnie we Wrocławiu — powód do ostrego konfliktu społecznego.

Za uchylenie się od kontroli cenzury projekt rządowy przewiduje karę aresztu lub grzywny do 5.000 zł. Projekt społeczny nie sugeruje żadnych sankcji karnych. Zobowiązuje natomiast wydawcę do zaznaczenia w treści tekstu ingerencji Urzędu Kontroli (art. 13) Rozbieżności takich jest więcej. Trwają debaty nad dwoma projektami, a żaden z nich nie trafił jeszcze na forum sejmowe.

Wysoce niezadowolając, zdaniem uczestników konferencji są także działania zmierzające do udostępnienia „Solidarności” środowisk masowego przekazu. Dotychczasowy dziennik telewizyjny, podający informacje drastycznie obcięte i nie uzgodnione z rzecznikiem prasowym „Solidarności”, można uznać za jedno z głównych źródeł strajkogennych — powiedział na konferencji Karol Modzelewski, rzecznik prasowy „Solidarności”. Sytuacja zmienia się jednak z godziny na godzinę. Na tej samej konferencji, 15 lutego Karol Modzelewski poinformował, iż nowy rząd wyszedł z inicjatywą zmierzającą do kontynuowania przerwanych rozmów między Radiokomitetem a Solidarnością.

Fakty, o których piszemy, mówią o sytuacji w ostatnich dniach. Opinia publiczna jak również związki zawodowe oczekują z nadzieją, iż nowy rząd zajmie wobec tych problemów odpowiednie stanowisko.

MALGORZATA GOLICKA

## POROZUMIENIA

Wrocławiu — powołał jeden mieszany zespół złożony z przedstawicielami różnych związków, który opracował by kompleksowo, w jednym dokumencie, wszystkie zagadnienia związane z prawem pracy, podobnie jak to jest w większości krajów.

Ze względów merytorycznych taka praktyka byłaby najbardziej wskazana. Ze względów praktycznych należałoby głosować za trzema oddzielnymi ustawami, gdyż obserwując tempo prac nad nowym kodeksem, trudno mieć nadzieję na szybkie przygotowanie jednego kompleksowego dokumentu. Jednocześnie trzy osobne zespoły, opracowujące ustawy, mogą przygotować, co już można było zaobserwować, sprzeczne ze sobą dokumenty i pominąć bardzo istotne kwestie, przyczyniając się w ten sposób do powstania luk w prawodawstwie. Dotychczasowe prace nad wspomnianymi projektami ustaw — mówiono we Wrocławiu — powinny być wykorzystane do powstania modelu prawa pracy w Polsce. Niezbędny jest jednak bezpośredni wpływ związków zawodowych i organizacji społecznych na ustawodawstwo w tym zakresie.

Nie rozwiązana prawnie jest również kwestia podziału majątku po CRZZ. Majątek ten miał być przedmiotem negocjacji między związkami zawodowymi. Tymczasem nie wszędzie odbyły się takie negocjacje i rzadko majątek trafiał w całości w ręce „Solidarności”.

Realizację postulatów placowych przedstawił na konferencji A. Baborski z Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Przypominamy, że ustalenie 3 porozumienia szczecińskiego, zgodnie z odpowiednimi punktami porozumienia gdańskiego, brzmiało: „Wyjaśniono, że będzie wprowadzona stopniowa podwyżka plac wszystkich

brzmiała następująco: „Wszyscy pracownicy branż otrzymali podwyżki jednorazowe, zgodnie z uchwałą nr 81/80 Rady Ministrów z dnia 6 września 1980 roku. Do listopada ub. roku podwyżkami objęto 12 milionów pracowników zatrudnionych w gospodarce społecznej. Zlikwidowano nadmierne dysproporcje w placach między pracownikami zatrudnionymi w różnych gałęziach gospodarki, jak i wewnątrz tych samych branż”. Po wypłaceniu tych jednorazowych podwyżek aktywność resortów znacznie spadła. Wszyscy zgadzają się co do tego, iż sprawy placowe nie są w tej chwili najważniejsze. „Solidarność” uważa, iż rozwiązanie tych kwestii nie należy zaczynać od pytania, ile kto ma zarabiać. Natomiast nie ma wątpliwości co do tego, że płaca zasadnicza powinna stanowić podstawę zarobków i że należy zmniejszyć ilość składników pensji, a dodatki — funkcyjne powinny być uzależnione od rzeczywistego wkładu pracy. Dla ilustracji posłużono się przykładem, iż rektor niewielkiej uczelni powinien otrzymać mniejszy dodatek funkcyjny, niż np. rektor dużego uniwersytetu czy politechniki. „Solidarność” jest również zdania, że premie nie powinny przekraczać 20 proc. płacy zasadniczej, gdyż wówczas zamiast dodatku, powodują ujemne skutki społeczne. Inna istotna uwaga dotyczyła zależności między wysokością zarobków a stałym miejscem pracy. Dotychczas tylko odejście za porozumieniem stron nie wpływało na wysokość zarobków. Tracili natomiast pracownicy odchodzący na własną prośbę, przy czym zakład tracił w inny sposób, gdyż z obserwacji wynika, że na własną prośbę odchodzili na ogół ludzie najlepsi. Sprawy te wymagają uregulowania, gdyż reforma gospodarcza spowoduje situa-

społeczny, będący rezultatem pracy prawników i publicystów, uwzględniający opinie Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, Komisji Ekspertów NSZZ „Solidarność” oraz wyniki ankiety konsultacyjnej „Doświadczenie i Przyszłość”. Obydwa projekty zakładają zgodnie pozostawienie cenzury prewencyjnej, a nie represyjnej. Z wielu względów takie właśnie założenie wydaje się być bardziej korzystne. Konfiskata wydanych prac, druków, czasopism itp. przy cenzurze represyjnej powoduje niekiedy zaostrezenie cenzury wewnętrznej autorów, bardziej surowej, niż nakazy ustawy. Zasadnicze różnice między obydwoma projektami dotyczą jednak dalszych artykułów ustawy. Projekt społeczny zakłada podporządkowanie Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk bezpośrednio Sejmowi, co w odczuciu autorów projektu nie stawałoby autorów w dwuznacznej sytuacji i zapewniałoby bardziej obiektywną kontrolę. Natomiast projekt rządowy jest za podporządkowaniem cenzury Radzie Ministrów.

Istotne rozbieżności dotyczą artykułów nr 2 obu projektów. Przytoczymy dla przykładu pkt I art. 2 projektu rządowego: „Korzystanie z wolności słowa w prasie, publikacjach i widowiskach nie może naruszać interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a mianowicie: 1. zasad ustrojowych gwarantowanych Konstytucją Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i innymi ustawami”. W projekcie społecznym czytamy: „Wolność słowa i druku nie może być wykorzystywana w celu: nawoływania do obalenia konstytucyjnego Urzędu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, naruszania wolności sumienia i wyznania, ujawniania tajemnic państwowej i gospodarczej; za-

## LISTY DO REDAKCJI

### „W STRONĘ „DRUGIEJ POLSKI”

W artykule „W stronę drugiej Polski”, na stronie 3, podano „sprawę prezesa Gminnej Spółdzielni w Teresinie, który miejscowej Rolniczej Spółdzielni Producyjnej zlecił przeprowadzenie kapitalnej modernizacji jednej z „knap”, aby wkrótce po jej zakończeniu objąć ten luksusowy już lokal w ajencję”, zd, i, p., (...).

Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że podane fakty dotyczące sprawy prezesa GS w Teresinie, którą kieruję, nie miały miejsca.

Nie dotyczyły one Gminnej Spółdzielni w Teresinie, jak również mojej osoby, ponieważ —

— nigdy nie zlecałem Rolniczej Spółdzielni Producyjnej w Teresinie remontu kapitalnego i modernizacji cytotwanej w artykule „knap”;

— nigdy i nigdzie nie obejmowałem żadnego zakładu gastronomicznego w ajencji;

— nie korzystałem również z wielomiesięcznego urlopu.

Zwykłym oszczerstwem są również wszystkie pozostałe zarzuty podane w artykule, a dotyczące prezesa GS w Teresinie (...).

W Gminie Teresin prezesów zatrudnia się w Gminnej Spółdzielni i Spółdzielniach Producyjnych. Zasadniczą sprawą jest więc odróżnienie prezesa GS od prezesa Rolniczej Spółdzielni Producyjnej w Teresinie (...).

Prezes Zarządu GS mgr ZBIGNIEW MIKULSKI

OD REDAKCJI: Istotnie, do publikacji wkładła się pomyłka, za którą przepraszamy ob. Zbigniewa Mikulskiego, wyjaśniając, iż sprawa nie dotyczy prezesa GS w Teresinie, lecz prezesa RSP — Stefana G. Dziennikarz skorzystał z nieprecyzyjnej — jak się okazuje — informacji.

### „CO Z TĄ MILICJĄ?”

Panie Redaktorze!

Tak wielką radość sprawił mi opublikowany w nr 6 (1989) „Odgłosów” Pana artykuł pt. „Co z tą milicją?”, iż stokrotnie dziękuję za niego.

Nagodzić ktoś zajął się tym „odiamem społeczeństwa”.

Zagadnienia poruszone przez Pana (dodatki: rodzinne, mieszkaniowe i inne przywileje) były nie raz atakiem ze strony znajomych w moim kierunku (śpięszę z wyjaśnieniem — jestem żoną pracownika operacyjnego KD MO — Śródmieście).

Te wszystkie mity i legendy, którymi osnuł się pracownicy MO, są tak silne, że żadna prawda ich przełamać nie może. A może właśnie Pana artykuł zdoła to uczynić?

My, jak tysiące rodzin w Polsce, borykamy się z tymi samymi problemami, np. już 10 lat oczekujemy na mieszkanie spółdzielcze. Mieszkaliśmy przez 5 lat na strychu z ciekawym dachem i w tych anty-sanitarnych warunkach wzrastali nasze dzieci, wynajmowaliśmy mieszkanie za 2000 zł miesięcznie (nie z funduszu Komendy z z własnych oszczędności), mieszkamy obecnie w służbowym „apartamentie” M-1 o pow. mieszkaniowej ca 13,4 m kw. Ach, zapomnieliśmy dodać, że korzystaliśmy dwukrotnie z wczasów MSW w ciągu 8-letniego stażu pracy meza.

Osiągając takie „korzyści” z pracy meza, nigdy chyba nie potrafił sobie wy-

tłumaczyć, skąd w psychice ludzi panuje przekonanie: „milicja to ma dobrze, oni wiedzą, że żyją”.

A może teza ta wypływa z prostego rachunku matematycznego, a raczej ekonomicznego, że jeśli praca w tzw. „aparacie ukłonu” jest ciężka i niebezpieczna, to musi być i opłacalna.

Być może, że i w tym odłamie społeczeństwa są ludzie uprzywilejowani, którzy czerpią złotymi naczyniami krystalicznie czystą wodę ale ja takich nie znam.

Znam natomiast jak każda kobieta przeciętnej rodziny polskiej, trudności dnia codziennego, powiem więcej — przewyższam inne kobiety takim bogactwem jakim jest strach i ciężki niepokój o każdy dzień pracy meza, czy będzie dla niego pomysły? czy powróci o wyznaczonej porze cały? zdrowy?

Żony górników wiedzą, co znaczy takie dodatkowe psychiczne obciążenie.

Z poważaniem

BARBARA SADOWSKA

### „CO SIĘ KOŁACZE W LUDZKIEJ PAMIĘCI”

W numerze 4 tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” z dn. 25.01.81 r. ukazał się „reportaż” Jacka Indelaka zatytułowany „Co się kołacze w ludzkiej pamięci”.

Nie wszystko co się „kołacze” w ludzkiej pamięci jest udokumentowana faktami prawdą. Ludzka pamięć bardzo często zawodzi, a obowiązkiem reportera jest sprawdzić wiadomości, które przekazuje drukiem do ogólnej wiadomości.

Np. ob. Indelak pisze „ostatnia dziedzińska Walewic była Jadwiga Grabieńska”. Gdybym nie znał małego Walewic leżącego między Sobota a Bielawami, mógłbym się z tym pogodzić, ale znam ten majątek, pracowałem w nim cała okupację i wiem że dziedzińska nazywała się Jadwiga Grabieńska.

Ob. Jadwiga Grabieńska spokrewniona była blisko z Karoliną Zamoyką, (a nie Zamoyką), która przez okres okupacji zamieszkiwała w majątku Walewic, a po zakończeniu wojny wyszła za mąż za młodego starszego brata. Przy odrobinie chęci ze strony ob. Indelaka można było sprawdzić nazwiska obu wymienionych kobiet.

Ob. Indelak nazywa małżeństwo mego brata z Karoliną Zamoyką „mezallansem”, a chyba wie że określenia tego używa się tylko wobec głów koronowanych, które zawierają małżeństwa z poddaniymi co w naszej rzeczywistości społeczno-politycznej nie ma racji bytu.

Zdanie „Dla łowcy sensacji — obnażać ludzkich intymności — materiał na reportaż” mówi samo za siebie. Ob. Indelak nie oszczędza nawet ludzi niezwiązanych, które zawierają małżeństwa z poddaniymi co w naszej rzeczywistości społeczno-politycznej nie ma racji bytu.

Czekam, że w najbliższym numerze „Odgłosów” ob. Indelak postara się o satysfakcję moralną w formie przeprosin przynajmniej ludzi żyjących a Redakcja zechce mi o tym powiadomić listem poleconym.

Wiesław Rakowski jak „...o postaci owianej atmosferą niezdrowej plotki” a także nieochlebnie wyraża się o młynarzu Wiktorze Przegalińskim, który „dorobił się ponoć na jakimś młynie pod Głównem”.

Radzę ob. Indelakowi, aby pisać następne reportaże opierał się na faktach, a nie na plotkach.

Czekam, że w najbliższym numerze „Odgłosów” ob. Indelak postara się o satysfakcję moralną w formie przeprosin przynajmniej ludzi żyjących a Redakcja zechce mi o tym powiadomić listem poleconym.

ZDZIŚLAW ROSIŃSKI 89-100 Łęczycza ul. Belwederska 47

Mezallans — według Słownika Wyrazów Obcych”, Warszawa 1978, s. 472 —

to zawarcie małżeństwa z osobą tzw. niższego stanu.

Małżeństwo grabieńskie było zatem „mezallansem”. Ujmując to słowo w cudzysłowie, jak i ująłem je w tekście, Opinia bowiem na temat tego kontraktu ślubnego jest nieczym więcej — jak przytoczyłem.

„Darujmy sobie jednak ten epizod” — stwierdziłem w swoim reportażu i nadal takie stanowisko podtrzymuję, z powodów doskonale znanych autorowi powyższego listu, który okazuje się być szwagrem pięknej Karolinie R.

Pozostałe — mniej istotne — zastrzeżenia naszego respondenta dotyczą również przytoczeń. Na temat Wiktorza Przegalińskiego i Stefana Stok-wskiego wypowiedział się przede wszystkim bohaterowie mojego reportażu, w którym odnotowałem opinie zarówno niezbyt nieobiecane, jak i ze wszelkim miar pozytywne.

Cytat na temat doktora Wiesława Rakowskiego jest — niestety — całkowicie wypaczony. Przypomnę więc leżo pełne brzmienie: Doktor Rakowski — postać niekiedy i tragiczna, a owiana atmosferą niezdrowej plotki”. Nie wiem dlaczego autor listu pominął tak istotny fragment zdania. Czyżby nie zgadzał się z poglądem, że postać to była „niekiedy i tragiczna”?

Reportaż nie jest traktatem naukowym, ani też studium historycznym czy socjologicznym. Nigdy zreszta do takiego miana nie pretendował. Dla reportera równa niekiedy waga ma sprawdzony fakt, jak i podkrotowana subiektywizm wypowiedzi, która czestokroć nie mniej mówi o ludzkiej kondycji niż zswartosci teckiej personalnej. Tak też rzecz się ma w przypadku reportażu, którego tytuł: „Co się kołacze w ludzkiej pamięci” ma chyba oczywistą wymowę.

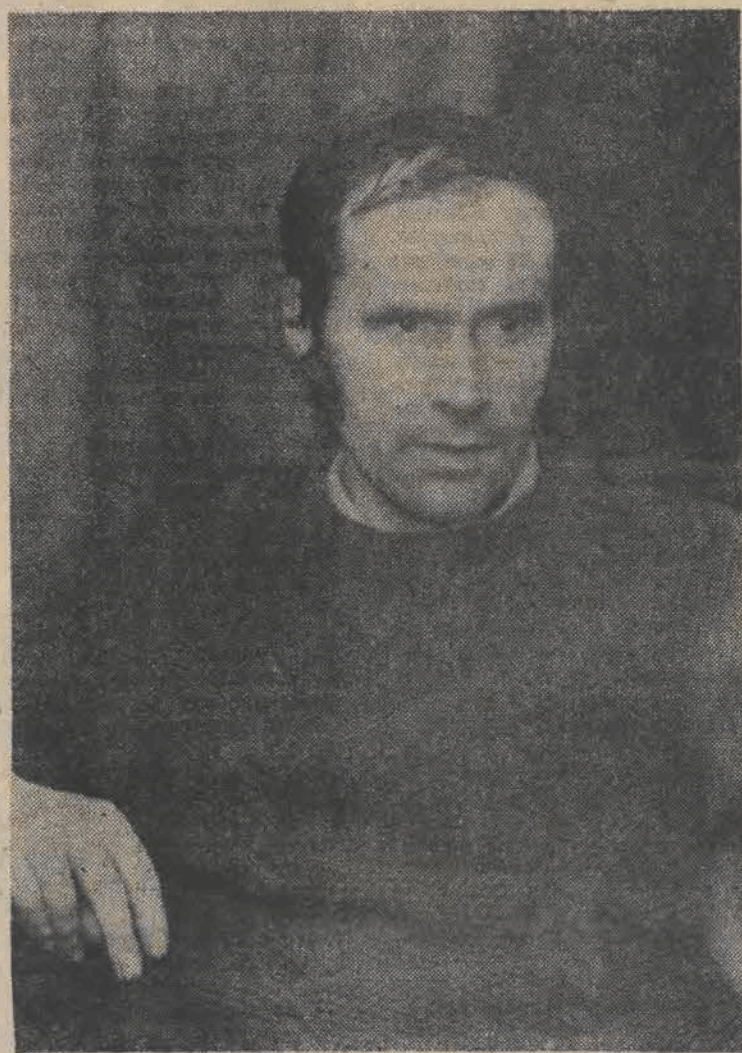
Za biedną słowność nazwisk — przeproszam. Zawiodła tu pamięć ludzi, którzy mi je podali, bądź też zawiniła moja niestaranna w sporządzeniu niektórych notatek.

J. INDELAK



# MÓWIĆ PROSTYMI ZDANIAMI...

Rozmowa  
z MACIEJEM SZUMOWSKIM —  
redaktorem naczelnym „Gazety  
Krakowskiej”



MACIEJ SZUMOWSKI: „Rzecz w tym aby ci ludzie otworzyli się na potrzeby rzeczywistości, aby wreszcie zaczęli być realistami...”  
Foto: W. Klag

— Jeszcze nie tak dawno byłeś gazetą, jakich wiele — a teraz jesteście dziennikiem, jakich mało...

— Zaprotestowałbym przeciwko takiemu postawieniu sprawy. Mimo iż będzie to moja subiektywna ocena, bo byłem związany z gazetą jako felietonista od ponad 10 lat, to uważam, że ten respekt nie wyskoczył nagle, korzystając ze sprzyjającego klimatu. Kto miał okazję zauważyć — zauważył chyba ten olbrzymi wysiłek moralny dziennikarzy tu zatrudnionych. Potwierdziłem tego może być także opinia z ostatniego Zjazdu SDP, gdzie właśnie o „Gazecie Krakowskiej” mówiono, że jest jedną z niewielu, która w minionym okresie potrafiła zachować twarz. A przecież ta opinia obejmowała nie dwa — trzy miesiące, te po sierpniu — ale kilka lat.

To, co powiedziałem wyżej, nie jest głołosłowne. Mamy na to dowody i znają nas Czytelnicy — chociażby z Konkursu im. Adama Polewki — dość sławnego w środowisku dziennikarskim, jako odbiegającego od sztampy, która najczęściej starała się sprostać teorii propagandy sukcesu. Mamy tu także grono dobrych reporterów — choć może nie tak wylansowanych, jak np. ci z Warszawy, czy pisujący w gazetach centralnych. To właśnie oni są znani i popularni nie tylko wśród czytelników, ale i wśród dziennikarzy: mają opinię ludzi, którzy w minionym okresie usiłowali za wszelką cenę sprostać prawdzie, mimo narzuconych rygorów propagandowych. I trzeba tu dodać, że było to — i nadal jest — grono ludzi, w którym nie tępieno odruchów i naturalnej tendencji do pisania prawdy. Wręcz im pomagano i kultywowano te talenty. Nie chcę tu wymieniać nazwisk, bo byłoby ich zbyt wiele i wyglądałoby to chyba mało skromnie.

Ten zespół nie powstał w 2-3 miesiące, nie objawił się „na fal” — tyle, że w ostatnim okresie ludzie tu zatrudnieni mogli wyartykułować w sposób jawny pewne swoje zalety wypracowywane przez całe lata...

Tragedią nas wszystkich, nas dziennikarzy polskich, jest chyba to, że prawie każdy z nas spierał się ze sobą — starając się w konstrukcjach reportaży, w aluzjach, w przecinkach, mówić prawdę, sprzedawać coś ze swojej prawdomówności i uczciwości, narażając się przy tym, bo mieliśmy przecież wykwalifikowanych cenzorów, nie urzędników — lecz w sensie politycznym, którzy każdy taki przecinek czy aluzję umieli doskonale czytać na naszą niekorzyść. I tu jest właśnie ten dramat: staraliśmy się pisać przynajmniej kodem, jakimś szyfrem i dawać do zrozumienia, że jesteśmy uczciwi, że coś nam się nie podoba, ale wówczas cały ten wysiłek jak gdyby był na nic, bo te sygnały były czytelne tylko dla środowiska. Już na zewnątrz, dla czytelników, były najczęściej niezrozumiałe. A przecież my nie pisaliśmy dla siebie. Nie dla władzy i nie przeciwko niej nawet. Innych chcieliśmy mieć odbiorców i cały ten trud szedł na marne. Przecież ludzie chcą i mają do tego pełne prawo, by o pewnych rzeczach mówić do nich zdaniami prostymi, zwykłym, prostym słowem.

Nie chciałbym, aby to, co mówię, zostało potraktowane jako ukłon w stronę kolegów z zespołu — żeby im się lepiej pisało i nam lepiej współpracowało. Poprzedni redaktor naczelny powiedział mi przecież, że mogę tu wszystko zmieniać i przestawiać, zostawił mi wolną rękę.

— Nie wiem, czy to prawda — znam te fakty tylko ze słyszenia — że za niektóre egzemplarze „Gazety Krakowskiej” płacono po kilkadziesiąt złotych...

— Najwyższa suma, jaka była do sprawdzenia i jest przez to wiarygodna — to równo 300 zł. Tyle właśnie płacono w pewnym okresie za jeden numer w Bielsku Białej. Najciekawsze jest jednak to, że był to okres względnego spokoju, przed strajkami. Z kolei sprawozdanie z Plenum w Krakowie kosztowało w gazecie ok. 130 złotych, a przed dworcem kolejowym ceny 20 — 30 zł są na porządku dziennym. W Bielsku, już w czasie strajku, nie było takich „kominów”, bo po prostu nie było już tej mitologii i można było sprawdzić co piszemy o tych sprawach — porównując to z rzeczywistością. Wprawdzie pisaliśmy na ten temat dużo i wiarygodnie — to jednak w momencie, gdy istnieje realna płaszczyzna opinii gazet, gdy są teksty i fakty — to wygląda to zupełnie inaczej.

Jednak i my także zauważyliśmy pewien mit, który wokół nas stworzono i który jest dla nas uciążliwy. Skoro są takie czasy, to powszechnie uważa się, że my tu robimy coś dziwnego i odszepiętego, coś innego w stosunku do całej pracy. Jestem realistą i nie chciałbym ani przez chwilę być w sytuacji mitomafskiej — tak jak cały zespół by nie chciał — ale mimo wszystko to oddaje stopień popularności gazety. Patrząc na to zjawisko z innej strony — jest to dla nas wszystkich duże obciążenie psychiczne, bo my chcemy sprostać tej popularności, chcemy być dobrzy w naszej robocie.

— Mówi się powszechnie, że jesteście bardzo dobrą gazetą. Jednocześnie słyszy się, że gazeta jest antysocjalistyczna czy wręcz rewizjonistyczna. Patrząc zaś na podtytuł: dziennik Polskiej Partii Robotniczej, przyznać Pan musi, że brzmi to wręcz groźnie...

— My także nie ukrywamy tych opinii. Napływają do nas listy od czytelników z podobnymi zdaniami — i my je drukowaliśmy. Tylko, że to znowu wywołało tak znaczną korespondencję w tej sprawie, że aż nas to zdziwiło. Jej autorzy uznali, że trzeba nas w tej robocie poprzec. To już nawet nie były listy — nadsyłało nam uchwały komitetów partyjnych w zakładach, uczelniach czy biurach projektowych.

Uczymy się teraz wszyscy, bo jeszcze nie wszystko do końca zostało ustalone. I dlatego dobrze, że istnieje dialog. Dlatego właśnie m. in. upadł mit zagrożenia gazety — jawności dyskusji na temat profilu gazety wykluczyła wszelkie podejrzania... A w ogóle byłoby najlepiej, gdyby ten okres dochodzenia do prawdy i okres dialogu nigdy się nie skończył. Nie ma sytuacji, w której dziennikarze chcieliby sobie usurpować prawo do stawiania na czele życia ideologicznego, do wytaczania nowych obszarów ideologicznych, czy stawiania pytań niezależnie od partii i obok partii. Nie zapominajmy, że to nie prasa była przyczyną powstania ożywienia politycznego i nowej sytuacji społecznej w Polsce. Dlatego też nie ma prawa — ani politycznego, ani moralnego, ani w ogóle żadnego — by wysorować się na czoło. Gdyby tak uczyniła — byłaby moralnie, psychologicznie, społecznie i politycznie w fatalnej, głupiej i fałszywej sytuacji.

— „Gazeta Krakowska” obejmuje swoim zasięgiem trzy województwa. Jak układa się wam współpraca z instancjami partyjnymi tych województw?

— Trudno mi zagłębiać się w szczegóły dotyczące naszej współpracy z instancjami partyjnymi trzech naszych województw. Sytuacja w samej partii — tak jak w tych komitetach — jest szalenie zróżnicowana. Odpowiedź dlatego jest trudna, że mimo wszystko nie można dzielić partii na szlachetny „dół” i głupią „górną”. Podziały biegają zupełnie inaczej, pomiędzy samymi ludźmi — tymi, którzy myślą światła i tymi, którzy czują się zagrożeni.

Pierwsi z nich — w moim odczuciu — myślą w kategoriach realistycznych, chcą mieć do czynienia z rzeczywistością i chcą ją kształtować ku porozumieniu społecznemu, ku temu, by co najcenniejsze z ruchu po Sierpniu zostało w naszych strukturach społecznych. Pozostali przeskakują temu jawnie i w złych intencjach, albo też stawiają opór, czując się niepotrzebnie zagrożeni w swoich życiowych partyjnych, czy na swoich stanowiskach. Chyba nie rozumieją oni sytuacji, do których trzeba nową wyobraźnią, nowego podejścia i wręcz zmiany stylu myślenia i często szkockie czynią nieświadomie. I tu właśnie upatrywałbym jedną z ról prasy partyjnej — by próbowała tych ludzi przekonać, że to jest dla nich szansa, a nie próba połowiania czy dzielenia, lub wręcz przyklejanie etykiety „konserwy” partyjnej.

Nastaję teraz czas wspólnego myślenia, kiedy nie chodzi tylko o wymianę samych ludzi, chociaż ludzi trzeba rozliczać — a nieuczciwi powinni odejść. Rzecz w tym, aby ci ludzie otworzyli się na potrzeby rzeczywistości, aby wreszcie zaczęli być realistami — a nie mieli w głowach jedynie szeregu dogmatów na

się, zmienianym nawet co kilka dni i potem centralnie rozsyłanym w kopiach do poszczególnych oddziałów.

Uważam, że pewne przepisy mogą także i nam być pomocne w pracy. Dlatego właśnie nikt z nas nie domaga się zniesienia cenzury w ogóle — a jedynie ustawienia jej w taki sposób, by nam pomagała, a nie przeszkadzała.

— Mówiliśmy już o kontaktach z czytelnikami i o listach do redakcji. Czy jesteście otwarci na ich głosy, także krytyczne? Przyznaję z pewnym zażenowaniem, że jestem zaskoczony opiniami czytelników, chwalebnych gazetę chyba na zapas, nie adekwatnie do tego, co robimy. Także mezcześnie mi mówić o tych listach, gdzie wprost mówi się nam o naszej popularności. Tak jak już powiedziałem — ten zespół jest taki, jaki był.

Najbardziej pozytywne i optymistyczne w kontaktach z naszymi odbiorcami jest chyba to, że wyraźnie zwiększyła się ilość listów, w których czytelnicy zajmują jakieś stanowisko, gdzie dyskutują o Polsce, popierają naszą gazetę i jej akcje. Czasem dziękują nam, a czasem zgłaszają mądre, rzeczowe propozycje. Takie wypowiedzi — co zauważono — w pewnych okresach „robą” nam gazetę. I one także przysparzają nam czytelników. Ci ludzie to chyba najsilniejszy punkt gazety: czytelnik zabierający głos w sprawach publicznych, obywatelskich czy mówiący o partii — jest nam bardzo pomocny.

— Zastylęliście nie tylko w Krakowskim, ale i w całym kraju — kilkoma akcjami. Mówi się, że to za sprawą waszej gazety zamknięto Hutę Aluminium w Skawinie.

— My huty nie zamknęliśmy. Jest to po prostu przykład świadczący o tym, że przez ostrą, rzeczową i jawną dyskusję można wiele zdziałać. W tym przypadku, kiedy obydwie strony dostrzegły, że nie ma tu ani gry, ani manipulacji — zdecydowały się na dialog. Potem pomogli naukowcy, i w ten sposób dołączono do racji zdrowotnych racje ekonomiczne. Nie było tu prób wstrzymania produkcji za wszelką cenę. Podpowiadano sobie wzajemnie sposoby rozwiązania tego problemu. I to jest dla mnie w tym wszystkim największy sukces, że udało się zahamować szkodliwą produkcję na drodze wagi racji — a nie przez siłowe starcie opinii. Był to zainicjowany przez nas dialog racji — i dlatego uważamy to za sukces.

— Interesujące wydaje się być kierowanie takim zespołem ludzi, zwłaszcza, że funkcję redaktora naczelnego objął Pan w listopadzie ub. roku.

— Nie przesadzajcie chyba, jeżeli powiem, że ten zespół wyczuł, że może pisać pełniejszym głosem. Bodźcem jest tu niewątpliwie fakt, że ten wysiłek jest widoczny, że dostrzegają go i czytelnicy, i władze. Dlatego też kierowanie tą zbiorowością nie jest żadną sztuką, trzeba tylko zbierać pomysły, inspirować i koordynować nurt dobrej woli i dobrej pracy. W tym konkretnym przypadku potwierdza się chyba reguła, że ludzie naprawdę dobrze pracują wtedy, kiedy wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi. Można to odnieść do robotników, inteligencji, w ogóle wszystkich obywateli. I to jest właśnie ta szansa, której w Polsce nie można zmarnować.

— Pyta Pan, czy miałem propozycje od innych dziennikarzy? Owszem, były takie. Nie zakładałem jednak, że będę musiał zabiegać o nowe pióra dla gazety — to by się nie zgadzało z moją opinią o zespole. Zespół zbierający obecnie pion swojej pracy i swoich talentów — nie może być zmieniany. Zastanawiam się raczej, co z danego dziennikarza jeszcze wydobyć, co w nim jest najlepsze. Przecież każdy z nich ma w sobie coś, co jest jego słabością i co jest jego siłą, co go wyróżnia.

Obserwuję także inne gazety i wydaję mi się, że w czołówce aktualnie znajduje się „Życie Warszawy” wraz z „Życiem i Nowoczesnością” oraz „Głos Wybrzeża”. Nie myślę tu o tygodnikach, teraz, kiedy liczy się nie tylko sama informacja, ale i szybkość jej opublikowania, kiedy w środku nocy zatrzymuje się maszyny drukarskie, by dać tekst, na który ludzie czekają — to tygodniki znacznie straciły, nie są tak szybkie.

Placimy najlepiej za takie właśnie teksty i za taką pracę. Pamiętam, że za kilka wierszy tekstu o przyjeździe misji Episkopatu do Bielska zapłaciłem bodaj tysiąc złotych. Jak to było? Po prostu nasz pracownik, jak już taką informację zlapał — tak długo tkwił się przez śnieg i zawieruchę, aż dotarł do telefonu i do mnie zadzwonił. Dzięki pomocy drukarzy ulokowaliśmy tę informację w drukowanej właśnie gazecie i rano okazało się, że byliśmy pierwszą i jedyną gazetą poranną, która to miała. Ostatnio znów dobrze zapłacił mi za krępującą wieść o likwidacji listy książek „zakazanych” w Bibliotece Jagiellońskiej. Znowu byliśmy pierwszą i jedyną...

— Jako jedyny partyjny dziennik w kraju macie samodzielną wkładkę — magazyn literacki „Przybliżenia”...

— To rzeczywiście unikat w skali kraju. Ostatnio sporo na ten temat dyskutowaliśmy w zespole. Mamy głosy, że taka wydziedziona część rozbiła gazetę, że należy te treści sprzedawać wewnątrz, jako integralną część — przemieszaną z innymi publikacjami.

Mieliśmy także sensację innego rodzaju — przyszedł do nas Andrzej Mleczko z propozycją zamieszczenia swoich rysunków. Nie proponowaliśmy mu tego, on sam do nas przyszedł. To dla mnie jest także znamienne w obecnej sytuacji. Jesteśmy otwarci dla wszystkich ciekawych i pozytywnych pomysłów, jak wiadać stało się to już powszechnie wiadome.

— Na zakończenie chciałbym zapytać, czym według Pana jest gazeta partyjna, a raczej — jaka powinna być i komu służyć?

— Wydaje mi się, że powinna przede wszystkim nie tracić kontaktu z czytelnikami. Dopiero wtedy istnieje możliwość oddziaływania, czy też politycznej bądź ideologicznej kreacji i wpływania na ludzi. Jest to tak proste, że aż wierzyć się nie chce, iż przez minione lata tego nie dostrzegano.

Nawet i teraz mamy mnóstwo telefonów na temat, jak robić gazetę, jak oceniać ludzi i zjawiska. Z tego widać, że nadal jeszcze funkcjonuje stary schemat w odniesieniu do zarządzania prasą. W dalszym ciągu mają miejsce przypadki, kiedy proponuje się nam, aby w ciągu jednej nocy, przy pomocy jednego artykułu, zmienić studentów. Po tym 10-letnim spustoszeniu, które zrobiła nasza propaganda, przy prostactkich sposobach okłamywania tego środowiska, gdy nie uczono ich żadnego realizmu politycznego w myśleniu, nie uczono dialogu, nikt z nimi poważnie nie rozmawiał — nie można nagle zmienić ich świadomości!

Gazeta musi być redagowana w ten sposób, aby ludzie mogli jej wierzyć, dopiero wtedy można próbować przekonywać ich do czegoś. Szkoda, że tej najprostszej prawdy wielu ludzi w partii jeszcze nie rozumiało. Jeśli chce się jedynym artykułem i kilkoma sloganami od razu rzucić na kolana tych bez przekonania, to partii w ten sposób tylko się szkodzi. Musimy być wiarygodni nie tylko dla partyjnych i dlatego nie możemy być spychani do roli biuletynu wewnątrzpartyjnego. Z tego wnioski wyciągnąć musi także i partia — szczególnie co do sposobu zarządzania prasą.

Jeżeli ludzie chętniej czytują gazetę partyjną, niż inne gazety — to jest to wielka sprawa dla całego zespołu. Jeżeli zaś partia poprzez taki dziennik może prowadzić autentyczny, otwarty dialog ze społeczeństwem, to jest to absolutnie najważniejsza szansa dla partii.

I chociaż spotyka się jeszcze ludzi, którzy nie rozumieją w ogóle takiej roli prasy, którzy nie doceniają idei dialogu i porozumienia, są tym propozycjom niechętni i oporni — to nie należy ich traktować jak przeciwników, ale swoją konstruktywną robotą i umiejętnościami przekonywać ich, że są potrzebni, że gazeta chce im po prostu pomóc.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:  
SŁAWOMIR DARZYCKI



Jeden z moich znajomych wezwany został do Wydziału Finansowego, gdzie odbyła się taka — mniej więcej — rozmowa:

— Proszę złożyć wyjaśnienie podatkowe. — Nie rozumiem, o jakie wyjaśnienie panu chodzi? — Z czego pan żyje, jakie ma pan dochody? — Żyję z pensji, jestem pracownikiem wyższej uczelni. — Czyżby? Zna nie pracuje, prawda? — Nie pracuje. — Ma pan na utrzymaniu dziecko? — Mam. — No, właśnie. Żyjecie na wysokim poziomie, a sąsiedzi widują pana w domu o różnych dziwnych porach.

— Mam zróżnicowane godziny zajęć, poza tym dużo pracuję, właśnie w domu: przygotowuję wykłady, piszę artykuły...

— Dobrze, dobrze. Z czego więc pan żyje? — Mówiłem już: z pensji. — Wiem, że pan mówił, a ja mam tutaj list. — Od kogo? — Nie wiem. — To znaczy, anonim? — Anonim, nie anonim, a wyjaśnić trzeba. Skąd możemy wiedzieć, że nie jest pan współwłaścicielem jakiegoś boutique'u? A może prowadzi pan smażalnię placzków nad morzem? Ma się te trzy miesiące wakacji, no nie? Skąd możemy wiedzieć? — Powinności wiedzieć. — Powinności. Jakbyśmy wiedzieli, to nie wycupalibyśmy pana, tylko nałożyli domiar. — Proszę pana, to zupełnie nonsens. Nie mieszkam w luksusowej willi, nie mam nawet własnego samochodu. Zjemy przeciętnie, skromnie, niż niejedna robotnicza rodzina.

— Panie, żeby pan wiedział, ilu naszych milionerów chodzi dla niepoznaki w łachmanach. Tak czy inaczej, musi pan przedstawić dokumenty, stwierdzające niezbieżność i rozmiary pańskiego zarobkowania.

Chciał — nie chciał, zgłasza się człowiek do odpowiedniej komórki administracyjnej macierzystej uczelni, aby uzyskać zaświadczenie o rodzaju zatrudnienia i wysokości poborów.

— A na co to panu? — pyta urzędniczka. — Dla Wydziału Finansowego, bo chcą mi wzmówić jakiś boutique czy smażalnię. — Tak? A ja skąd mam wiedzieć, że pracuję w nas jest jedynym źródłem pańskich dochodów?...

Wiele czasu i zachołu kosztowało uspokojenie służb podatkowych odpowiednimi dokumentami. Znany mój jednak nie uspokoił się. Czeka na następny donos.

1. Sezon wędkarski w pełni. Wszyscy wszystkim na ręce patrzają, chociaż wciąż jeszcze niektórzy patrzą na niektóre ręce przez palce.

Tu i ówdzie Najwyższa Izba Kontroli, służby podatkowe, prokuratura i milicja, środki masowego przekazu, a i „Solidarność” sieci zastawiają, wszechcapiąc wielkie łowy w wodzie zmętniałej całkiem od niedawnych wstrząsów.

Połowy te jednak nadal nie dają społeczeństwu pełnej satysfakcji. W sieciach wieszna głównie drobne płotki, zaś rekiny trafiają się nader rzadko. Może rybacy nie tam, gdzie trzeba, zastawiają sieci? A może sieci wciąż te same, nie dostosowane do potrzeb nowego sezonu? Wciąż jeszcze nie dość silne i nie tak wytrzymałe, aby żaden rekin nie mógł się z nich wyrwać jednym kłapięciem szczęki czy stanowczym machnięciem ogona?

Nie wszystkich te zbiorowe — zinstytucjonalizowane niejako — połowy satysfakcjonują. Nie tylko zresztą z tego powodu, że ich rezultaty nie wykraczają poza jednego czy dwa zdychające rekiny, wyrzucone falą na brzeg, z powybijanymi już wcześniej zębami. (O ile — oczywiście — nie brnąć pod uwagę stada ogólnych, mizernych płotek, które nie były dość sprytnie, żeby umknąć przed niewodem). Nie dlatego również, że drażni ich widok piskorzów, miętusów i wegorzów, które po krótkiej samotności nie wyrwygają się z opresji i wypływają na szeroką wodę, gdzie — kto wie — może spokojnie żerować będą aż do następnego sezonu.

Są ludzie, których nie satysfakcjonuje rola widzów, biernie obserwujących zmagania profesjonalnych czy społecznych rybaków. Inaczej mówiąc, są ludzie, którzy mają nadmiernie rozwiniętą żylkę wędkarską. Zarzucają więc cichcem wędkę, pewni swej bezkarności, bo sezon to niezwykły: kart wędkarskich nikt nie sprawdza, okresów i wymiarów ochronnych nie przestrzega.

Zarzucają więc wędkę, gdzie popadnie. Najczęściej — w najbliższe otoczenie. Chwyć — nie chwyć. Wszystkie jedno. Przyjemnie chociaż na drgającej spławik popatrzeć. A nuż, przy okazji, uda się koleżę lub sąsiada utopić, a jeśli nie — to chociaż w błocie umoczyć.

Zbiorowe kłusownictwo i ślepe nagonki, zarzucanie haczyków gdzie popadnie — wszystko to jest na rękę przede wszystkim tym, którzy chcą utrudnić profesjonalne, obwarowane regulami gry i prawidłami rzemiosła połowy. Obserwowanie każdego spławika, wyciąganie każdej wędkę czy sprawdzanie każdego haczyka może przecież doprowadzić do odwieśnienia sieci na kolku, co niejedną zawodową rybka skwapliwie uczyni — szczęśliwy, że może zaprzęść gonitwę za rybami, które jeszcze wczoraj wernie hodował i ochraniał, a dziś każe mu się na nie połować.

2. Sezon wędkarski w pełni. Więcej wciąż jednak beładnej chlapaniny i rzucania błotem, wrzawy i jargoty, niż złowionych ryb. Dlaczego? Jedną z odpowiedzi tkwi w przysłówiu: kruk krukowi oka nie wykoła.

Skoro zaś weszliśmy między wrony, przytoczmy anegdotę, która zdążyła się już zrodzić w naszym wiecznie krzącącym i niezmiennie złośliwym narodzie:

— Tato, co to jest odnowa? — pyta mały Kazio. — Kaziu, nie męcz ojca! — odpowiada zmęczony odnową ojciec. — Tato, proszę, powiedz, bo my w przedszkolu też chcemy zrobić odnowę! — Jakby ci to powiedział... Ojciec rozgląda się wokół. — Widzisz te kruki na gałęziach drzewa? — Widzę! — To popatrz teraz! — powiada ojciec i z rozmachem klaszcze w ręce — Odrunęły! — woła Kazio. — E, wróciły z powrotem i znów siedzą! — Ale każdy na innej gałęzi! — kończy ojciec lekcję poglądowną.

Kruki trzymają się razem. Wiedzą, że w stądzie są jeszcze silne, chociaż ten i ów spadł z gałęzi.

3. Wystarczy. Nie opowiem. Odnowa odnowa, ale nie opowiem.

Mnie również irytują niektóre moje teksty, w których sporo chytrzenia i kluczenia, zamiast mówienia wprost, pełnym głosem. Niestety, nie takie to wszystko proste. Czasy, w których przyszło nam żyć, nie są wcale sielankowe. Odnowa (brr, wciąż to słowo!), to nie seria drobnych napraw, to nawet nie remont kapitalny — to okrutna, bezpardonowa walka, w jakiej najzaciętsi są tak ci, którzy najwięcej mają do stracenia, jak i tamci, którzy najwięcej chcą zyskać. Jedni i drudzy idą już na całego, nie przebierając w środkach i nie gardząc żadnymi chwytnymi. Gotowi nas wszystkich wciągnąć w te zmagania, aby urzeczywistnić swoje prywatne cele, zresztą zresztą opakowane w hasła ogólnego interesu i zbiorowego szczęścia.

Trzeba więc czasem kluczyć i chytrzyć, żeby się nie dać ustrzelić przed zakończeniem walki. Instykt samozachowawczy? Nie tylko, bo i odpowiedzialność za słowa, które stają się potężną bronią. I stąd też nie jeden reportaż czy artykuł przypominać musi pływającą górę lodową: jedna piąta na powierzchni a cztery pięte w reporterskim notesie.

— Kiepski to reporter — powiada jeden z moich kolegów — który wystrzela na raz wszystkie kule, a kiedy zajdzie konieczność samoobrony, magazynek ma pusty.

To również się liczy, ale nie tylko. W dostarczanym przez Czytelników, zebranych przez reportera materiale, trafiają się nie tylko ostre, ale i ślepe naboje. Biada, gdy reporter się pomyli. A naboje czasem trudno odróżnić. W razie więc wątpliwości, lepiej poczekać na ekspertyzę zawodowych pirotechników.

Kanonada ze ślepych naboju — to przecież też sposób na rozmielenie odnowy na drobne. Palba ta zazwyczaj bardzo jest na rękę jej przeciwnikom. W huk i dymie łatwiej przystąpić się tarczą, od której odbije się prawdziwy pocisk i z sykiem w piach upadnie. A tarczy nikt już nie dostrzeże, ogłuszony hukiem, oslepiiony dymem.

Oszczercstwa, kalumnie, potwarze — kiedy intencje całkiem złe. Niesprawdzone informacje, powielane plotki — kiedy intencje nawet nie najgorsze. Diabli jednak z intencjami, skoro efekt wciąż ten sam: balastu nie ubywa, lecz powiększa się on o kolejny plugawy ochlap.

4. Kluczą i chytrzą nie tylko publiczność. Z innych całkiem powodów robią to często ci, których służbowa czy społeczna powinność jest rozwikłanie do końca niektórych spraw z nie-

JACEK INDELAK

# JAK ROZMIENIĆ

Poinformowano mnie niedawno, że jeden z działaczy szczebla wojewódzkiego, wyeliminowany z gry za ewidentne szwindle, nie stracił dobrego samopoczucia. Stwierdza mianowicie:

— Natomiast! Sądzę, że uda mi się postawić mnie przed sądem! Uchronienie mojej osoby przed odpowiedzialnością karną, to nie tylko moje zwartwienie. Bardziej ode mnie powinni się o to martwić ci, co mają więcej do stracenia, a są nie mniej winni, niż ja. Oni mi krzywdy nie pozwolą zrobić, bo co by było, gdybym zaczął sypać na...

I tu następuje lista osób, które z minionego okresu wyniosły nietknięte — co najwyżej pominięte — stolki i fotele.

Bluff? Chciałbym mieć nadzieję. Jest ona jednak matką głupich, ja zaś do głupoty — przynajmniej publicznie — nie mam zamiaru się przynajmniej. Wychodzi zatem na to, że muszę mu uwierzyć. I ciarki mi biegają po grzbiecie. Jeśli to nie bluff, jeśli facet mówi prawdę, to można mieć pewność, że o odnowie w strafie jego wpływów nie może być mowy. Odnowa i tu rozmieni się na drobne. Zastępuje ją bowiem zajadła walka o posady, a może i fortuny, którym zagrożona.

I jeśli facet mówi prawdę, to nie są pozabawione złośliwego sensu sny, które nekają mnie od pewnego czasu.

Sen pierwszy: Zebranie Towarzystwa Wzajemnej Adoracji. Przewodniczący, jak zwykle. Naczelny Adorant, otoczony wianuszkami Wiernych Adoratorów, którym pomógł przed laty wspiąć się na ciepłe stolki. Stolki te jednak ochłodny dziś znacznie, a i trząść się poczęły.

— Szeffe, co teraz będzie — pyta jeden z Wiernych Adoratorów. — Jak to co? — powiada Naczelny Adorant. — Odnowa, rozumiecie? Trza przeczezać, a potem od nowa. — Ale jak przeczezać? — Wicie, trzeba odnowić nasze Towarzystwo. Ja, rozumiecie, muszę odejść. Koledzy z centrali załatwili mnie już... — Jak to, załatwili? — No, załatwili mnie placówkę.

— Szeffe, czy to wystarczy? — Chyba nie Więc, moi Wierni Adoratorzy, jeden z was musi się poświęcić. — Ale kto, szeffe? — Rozumiecie, zawsze byłem sprawiedliwy. Jak ojciec. I teraz też muszę. Zaczynam! Ene-due-like-fake-torba-borba-usme-smakne. Raz! Dwa! Trzy! Kozio-lecz-kciem bę-dziesz ty!...

Sen drugi: Sen trzeci:

# ODNOWĘ

dawnej przeszłości. Zamiast rozwikłać, gmatwają je jeszcze bardziej.

Uznają — na przykład — za całkiem naturalne, iż panowie X i Y oczyszcili się z zarzutów, przedkładając rachunki za roboty budowlane, wykonane w swoich posiadłościach przed dwoma czy trzema laty, zafakturowane zaś i popłacone we wrześniu czy październiku 1980 roku.

Pomijają milczeniem fakt, że żona pana Z handlowała talonami na samochody i telewizory, on zaś sam zlecał jej w imieniu swojej instytucji kilkuset tysięcy chałtury. Utrzymują, że przed pięcioma laty można było za psie pieniądze i bez kłopotów kupić wprost na składzie deficytowe superszlachetne materiały budowlane, co jest — oczywiście — wielką lipą. Nie dopowiadają, że sąsiedzi pana X są nie mniej, niż on sam, zbrukani malwersacjami na terenach działkowych, jakie dzielił z nim pospół.

Nie przyjmują do wiadomości, że pan Y polecił za państwo pieniądze „zaadaptować” dom mieszkalny na prywatne w istocie garaże, pana Z natomiast usiłują wybielić, ujawniając zawartość zaledwie dwóch czy trzech faktur, podczas gdy pomijają milczeniem kilkadziesiąt dalszych, pewnie nie mniej interesujących rachunków.

Jest na pewno wiele przypadków, w których ludziom, zwolnionym z różnych stanowisk, usiłuje się ratować „choć” ich apanaże i fortuny, zdobyte kosztem społeczeństwa. Powszechna jest też świadomość praktyk, jakie usiłuje się nadal tu i ówdzie stosować, żeby uchronić przed odpowiedzialnością niektórych ludzi. Ciągłe, przecież istnieją — zrodzone przez kumoterstwo, korupcję i nepotyzm — powiązania i układy, których łańcuch trudno jest rozzerwać, jeśli nawet jedno czy drugie ogniwo udało się wykruszyć.

Wszyscy jesteśmy coraz bardziej świadomi, coraz też więcej wiemy. Otrząsamy się też coraz skuteczniej z szoku, jaki wywołało nagłe uświadomienie ogromu zła i bezprawia, rozpiętego w całym kraju. Otrząsamy się, nie przechodząc jednak nad tym do porządku dziennego, ufając ciągle, że powołane do tego służby dokonają dzieła oczyszczenia.

Pomyśleć, że jeszcze jesienią zeszłego roku zapewniano oficjalnie dziennikarską zbiorowość, że nie są znane przypadki zakupu samochodów na talony częstszego, niż raz na cztery lata. Nie znalazłby się już pewnie smialek, który powtórzyłby to samo publicznie dzisiaj, który utrzymywałby, że nie jest możliwe wykrycie takiego procederu, że nie jest możliwe zbadanie

losu talonów, jakimi niektórzy ich dysponenti zostali na lewo i prawo, nie bacząc nawet na pozory sprawiedliwości.

I to już postępek, że do rozmielenia odnowy na drobne trzeba używać coraz bardziej wyrafinowanych chwytów. Ludzie bowiem nie takie znow głąby. Można ich raz nabrać, można i drugi. Na permanentne jednak nabieranie już dziś nikomu nie pozwolą.

5. — Ludzie takną krwii! — powiadają przeciwnicy odnowy, zaś ludzie odpowiadają im Tuwimowskim: — Niech prawo — prawo znaczy, a sprawiedliwość — sprawiedliwość.

— Wciąż jeszcze nie jesteśmy wszyscy równi wobec prawa. Wciąż dzieli się obywateli naszego kraju na kategorie! — takie gorzkie refleksje padły na walnym zgromadzeniu łódzkiego dziennikarzy, kiedy jedna z naszych koleżanek zwróciła publicznie uwagę na dwie sąsiadujące ze sobą informacje prasowe. Jedną — o wykluczeniu z PZPR byłego premiera Jaroszewicza, a drugą — o aresztowaniu jakiegoś nazelnika gminy, za wielokrotne łżejsze — aczkolwiek podobne w charakterze — przewiny.

— Jak na razie karzące ramię odnowy nie może sięgnąć wyżej szczebla gminy — powiadają niezadowoleni. — Im wyżej, tym opieszalej idzie rozliczanie. Im wyżej, tym więcej poważnych przeszkód i okoliczności łagodzących. A przecież im wyżej, tym większe nadużycia i przestępstwa wobec kraju, społeczeństwa.

„Nie chcemy byłego towarzysza Jaroszewicza w szeregach bezpartyjnych!” przewrotnie to hasło obiegiło już cały kraj, od Jeleniej Góry, przez Łódź, po Gdańsk. I nie mają racji ci, którzy utrzymują, że ma ono wymowę antypartyjną. Nie mają też racji ci, którzy w żądaniach, wymierzonych w regionalnych prominentów, chcieli dopatrzeć się zmasowanych ataków na partię czy na władzę. Takie postawienie sprawy wygodne było właśnie atakowanym, ułatwiało im osłonięcie się demagogiczną tarczą przed gniewem ludu. I nie jest prostą sprawą klasyfikowanie tego typu lokalnych akcji. Czy uznać je za działalność polityczną, czy po prostu za statutową obronę interesów ludzi pracy? Czy żądanie odejścia z wysokiego stanowiska jakiegoś malwersanta czy tylko złego gospodarza ma na pewno charakter polityczny?

Społeczeństwo bez wątpienia dostrzeża i docenia wysiłki partii, która chce ostatecznie oczyścić swoje szeregi z ludzi skompromitowanych, niegodnych noszenia czerwonej legitymacji. A że wszyscy chcą, aby również i państwo rozliczyło winnych do końca — trudno się dziwić. Chęć, żeby dokonano się to zgodnie z obo-

wiązującym prawem i w jego majestacie. I wcale nie z tego powodu, że żądni są sensacyjnych widowisk. Nie, potrzebne jest im to, aby mogli odbudowywać swoją — zachwianą lub utraconą — wiarę w prawo i sprawiedliwość.

— O część wam, panowie, magnaci — tym posępnym śpiewem witały łódzkie przedki Jaroszewicza i Szydłaka, kiedy to przed dziesięcioma laty — 14 lutego 1971 roku — zmuszeni byli oni przyjechać do naszego miasta, aby wynegocjować przerwanie strajku w ZPB im. J. Marchlewskiego.

W parę lat później — kiedy dokonała się lub też skończyła, jak kto woli, poprzednia odnowa — bulwersowały nas wszystkich, napływające nieoficjalnymi kanałami, wieści o wietlowskich przegranych w kasynach Monte Carlo „czerwonego księcia z Polski”, jak ponoć była uprzejma nazwać Andrzej Jaroszewicza zachodnia prasa.

Czy ludzie lękają krwi? Nie, nikt tego ludziom nie wmówił. Ludzie chcą po prostu zwyczajnej, ludzkiej sprawiedliwości. Chęć, aby ci, którzy zrujnowali nasz kraj, przez których cały naród został tak dotkliwie upokorzony — zapłacili rachunek. Uczciwie i skrupulatnie wystawiony każdemu z osobna. I nie ma tu żadnych krwiożerczych zapędów, nie ma wołania o linę, stryczek czy pluton egzekucyjny.

Żądania — wysuwane nieustannie przez różne środowiska — mają charakter ściśle rewindykacyjny. Konfiskata zagarniętych dóbr — to jest to, czego przede wszystkim domaga się cały naród. Ludzie chcą ponownego „uspołecznienia” całego kraju, wymazania z jego mapy białych plam i tajnych enklaw, chęć całkowitej likwidacji prywatnej Polski, którą wytrwale i naiwnie pomagaliśmy budować rodzimej magnaterii, nabrawszy się na różne „Pomożecie?” czy „Budujemy drugą Polskę”.

Czy chodzi tylko o „magnatów”? Nie, raczej o całą „rózową burżazję”. Terminem tym Józef Lipiec — na łamach krakowskiego miesięcznika „Zdanie” przed dwoma laty! — proponował zastąpić zwrot „czerwona burżazja”, nie przystający jego zdaniem do naszych warunków.

Artykułu tego nie zdołaliśmy wówczas przedrukować. Trudno się zresztą dziwić, skoro zawierał on takie sformułowania:

„Czym jest zatem „rózowa burżazja”? (...) Czy istnieje specjalny stosunek (usankcjonowany przez prawo) do środków produkcji charakterystyczny dla niej? Nie, nie został on nigdzie określony, a jeśli ktoś próbuje to czynić (np. nie należące doń środki produkcji traktować jakby własne) to jest to jaskrawe łamanie prawa (z ustawą najwyższą na czele). Czy rola w społecznej organizacji pracy jest jakimś wyróżnikiem „rózowej burżazyności”? Jest, ale tylko w przypadkach szczególnych. Czy może idzie tu o rozmiary dochodów, o to, że ktoś ze względu na zajmowaną pozycję może przywłaszczać sobie pracę drugiego w sposób bezpośredni lub pośredni (poprzez wyznaczenie sobie jaskrawo uprzywilejowanego udziału w zapłacie za wspólnie wykonany wytwór)? Czy też problem tkwi w sposobie otrzymywania tej części bogactwa społecznego, która faktycznie znajduje się w zasięgu ręki niekontrolowanej, wyciągającej ukradkiem to, co oficjalnie byłoby kwestionowane? Być może, być może.

Nie tylko szczególnie zdolni i pracowici budują sobie materialną pomyślność ponad przeciętną miarę, a budują dla siebie i ku szczęściu swych dzieci, którym krew błękitnieje nad podziw”.

„(...) Różowe mieszczaństwo apetyty swe pragnie zaspokoić już teraz, zaraz — wydzierając resztkę to, co przeznaczone jest do mniej więcej sprawiedliwego podziału. Różowy mieszczań, poutórzmy, to nie jest bowiem ktoś, kto bardziej od innych zastępuje — obiektywnie — by brać więcej i lepiej, bo mu wygodniej sięgnąć. (...) Różowy mieszczań może istnieć dlatego, że jego uzurpacje nie potykają żadnego oporu ludzi rzetelnej pracy, którzy są jedynymi autentycznymi ludźmi socjalizmu. Różowe mieszczaństwo żywi się przede wszystkim nierozbudzoną świadomością ogółu na temat jego różowości i jego mieszczaństwa”.

Tak pisał Lipiec na dwa lata przed Sierpniem, którego istotą było chyba właśnie i to, że uzurpacje różowej magnaterii i burżazji natrąfiły wreszcie na stanowczy opór, że świadomość ogółu — rozbudzona dużo wcześniej — tym razem zmanifestowała się w żelaznej wytrwałości, w konsekwentnym dążeniu do rewindykacji praw „jedynych autentycznych ludzi socjalizmu” — czyli milionów przeciętnych Polaków.

Nie stał się jednak cud: wiatr od morza nie zmógł różowego mieszczaństwa z powierzchni ziemi, w którą głęboko powstrąsano korzeniami. Naiwny więc byłby ten, który sądzi, że rodzimego chowu burżazji poddadzą się bez walki. Mają do stracenia zbyt wiele. Zrobią zatem wszystko, aby zahamować i rozmydlić odnowę, rozmielić ją na drobne, rozsunąć w „od nowa”.

6. — Nie będziemy chronić ludzi, którzy nie sprawdzili się zawodowo i moralnie — zapowiedział w swoim exposé premier Wojciech Jaruzelski.

Czy można przyjąć te słowa za zapowiedź rzetelnego i konsekwentnego rozliczenia wszystkich, którzy zawinili wobec prawa, kraju i narodu? A jeśli tak, to czy dziesięćdziesiąt dni wystarczy? Na pewno nie, balast jest bowiem potężny. Trzy miesiące powinny jednak dać wiarygodne podstawy, aby móc uwierzyć w czystość intencji władz. W prawdziwość zapewnienia, że nie oszczędzą one nikogo, kto na karę zasłużył, że odnowa nie sprowadzi się do personalnej karuzeli i kłóź ofiarnych.

— Jednocześnie przeciwdziałając będziemy psychozie oskarżeń, nie zgodzimy się na skalowanie — powiedział również premier. A w słowach tych pobrzmięła chyba niepokoju o to, aby odnowa nie rozpełzała nam się w strzelaniu na oślep, w kłusowniczych zapędach, w amatorskich połowach, w machinacjach i kombinacjach, w niesolidności i nierzetelności, w kumoterskim pobłażaniu i w prywatnych rozgrywkach. W tym wszystkim, co dostarcza argumentów ludziom, czekającym tylko dostatecznego pretekstu, aby odgwiżdżać koniec odnowy.

# NA DROBNE



Sprawa Domu Wypoczynkowego „Granit” wzbudziła w opinii publicznej powszechne zainteresowanie. Powstało też wokół niej wiele plotek i nieporozumień. Fakty jednak, które się stały, świadczą o stylu życia i myślenia ówczesnej administracji partyjnej.

Dlatego też sprawa ta wydała nam się godna przedstawienia.

należało pytać Cioska — nie miał on tu wiele do powiedzenia; „Granit” należał do KC. A miejscowe władze okazały się za „male” i wobec MSW.

— Mówisz o tym sanatorium w parku zdrowym w Cieplicach?

— Właśnie. O sanatorium, które, Bogiem a prawdą, bardziej nadaje się do szpitala, niż ten osławiony „Granit”. Pomijając taki „drobiazg”, że przy okazji budowy obiektu wycięto fragmenty parku, jest on jeszcze w stanie surowym i na pewno szybciej można go adaptować dla potrzeb lecznictwa.

— Sam jednak wiesz, jak szybko z tapety rozmów w „Gencjanie” spadła sprawa przekazania władzom Jeleniej Góry sanatorium MSW. Został „Granit”, w formie dzierżawy na cztery lata, dopóki nie stanie nowy szpital. A nawet laicy twierdzą, że najbardziej nadawałby się on na hotel dla dewizowców.

— Patrz, nawet telefon z KW nie pomógł.

— Ano, nie pomógł, ale z drugiej strony, czemu się dziwisz ludziom z „Granitu”. Przecież większość z nich lada moment stracił trzecie posady.

— No, część może tam dalej pracować, ale sanatorium rehabilitacji narządów ruchu, to już nie pensjonat dla prominentów.

— W ostatnim czasie i tam nie było stożka. Gdy pani Musiał chciała w ramach sąsiedzkiej pomocy pożyczyć kiedys trochę masła, to jej odpowiedzieli, że też margaryną smarują.

— To fakt, „Granit” ma w sobie coś z mitu. Popatrz, tarasy podgrzewane specjalnymi szwajcarskimi matami, ale budowlani robotę — jak to często u nas — spalali i woda leje się po ścianach niżej usytuowanych pokoiów.

— Albo plotka o apartamentach. Raptem są dwa — trzypokojowe, z kolorowymi telewizorami, a reszta — to zwykłe, dwuosobowe pokoje,

wrót podejmowane m. in. dzięki mediacji Wałęsy. I co osiągnęło? Przeczytaj.

— Zaraz, zaraz to jest. O, mam. Długie to.

— Streszczaj:

— Dobra, więc tak: „dostał na cele szpitalne „Granit”, który, jak już mówiliśmy, nie był się do tego nadaje, przyrzeczono przyspieszenie budowy szpitala wojewódzkiego, wojewoda ma przedstawić nowy program rozwoju budownictwa mieszkaniowego oraz — jak to się ładnie mówi — zabezpieczyć wystrajającą ilość miejsc w przedszkolach i żłobkach. Odwołany zostaje jeden dyrektor, trzy osoby (m. in. wicewojewoda) składają rezygnację, a w stosunku do innych będą prowadzone badania, kontrole, oceny. I co w tym najważniejsze?

— Odwołanie strajku.

— Zgoda, strajk był to pewno niepotrzebny.

— Zaprzeczaj ci każdy mieszkaniec Jeleniogórskiego...

— Ale idźcie tu o raczej większe, niż to województwo, a poza tym obie strony mogły się naprawdę przyłożyć do tego, by nie doszło do przerwania pracy. Co powiedział Wałęsa w czasie niedzielnych rozmów? „Cel macie słuszny, propozycja przekazania na rzecz społeczeństwa obiektów wypoczynkowych — uzasadniona, ale obrona przez was formułki — niewłaściwa. Nie możemy dla partykularizmu przegrywać spraw wielkich. Zaściankowość może nas zgubić”.

— Jednak do strajku doszło. Ogłosiła go miejscowa „Solidarność”. Ale twierdzą, że i komisja rządowa nie stanęła na wysokości zadania. Przyjeżdżała dwukrotnie, dwukrotnie też ogłoszono strajk ostrzegawczy, a nawet odstępowano od niego, natomiast komisja nie była wyposażona w odpowiednie pełnomocnictwa, by szybko i jednoznacznie uciąć sprawę. I nie jest to przykładem kraju odosobnionego.

— No, tak, ale i „Solidarność” nie przedstawiła na początku konkretnych zarzutów. Wiele natomiast było plotek, pomówień, obiegów i nie do końca wiarygodnych opinii. Zauważyłeś, że gdy rozmowy z „Gencjanem” przeniosły się do Warszawy, odstąpiono od sprawy Stanisława Cioska.

— Może delegacja „Solidarność” i jej przewodniczący, Roman Niegosz, zostali przyćmieni?

— Może, ale porozumienie wreszcie podpisano i w środę pracowały już wszystkie zakłady województwa.

— Fabszka ampułek z Bolesławca zaczęła robotę już dzień wcześniej.

— Jakże długo jednak trzeba było przekonywać zabójcę, żeby podjął pracę. Zatrudnione tam kobiety opowiadały, że choć lekarskie nie będzie w co pakować — one nie ustąpią.

— Ustąpiły jednak.

— Mam wrażenie, że w finale jeleniogórskiego konfliktu daly się przekonać i ustąpiły obie strony.

— Patrz, a nam ludzi z „Granitu” nie udało się przekonać i nie ustąpił...

— Ale tak, na dobrą sprawę, to czego ty się spodziewałeś, że co tam ujrzyś?

— Może chciałem wziąć saunę?

— Nie musieliś w tym celu jechać aż z Łodzi, a poza tym wiesz, że nie wpuszczano tam nikogo — jak ci powiedział Marek Jaworski — nawet z najbliższej rodziny, choćby na basen.

— No to w kregle bym zagrat...

— Kregielnia jest też w Szklarskiej, w innym domu czasowym.

— Może chciałem się napić wódki w którymś z barków po cenie detalicznej?

— Jakiej detalicznej? 15 procent narzutu, a i tak bary wykalkują o 22.

— Może obejrzałbym kosztorys budowy obiektu?

— Chciałeś sprawdzić, czy rzeczywiście — jak powiadają — „Granit” kosztował miliard złotych?

— A dlaczego miałbym tego nie wiedzieć, jeśli też okazał, będący w ukończeniu nowy ośrodek Politechniki Wrocławskiej kosztował ma 26 milionów; a ścianę niszczoną ma wyłożoną drzewem i będą w nim apartamenty...

— Ale upiór kierownika Lutostawskiego nie pozwolił ci zapokoić ani wrodzonej ciekawości, ani „wymyślnych” potrzeb. Chyba, że jechałeś tyle kilometrów, by zobaczyć, jak dzielane mieszkanie rymy — również podgrzewane.

— Rzeczywiście, nie mogę spać z tego powodu. Tylko diabeł człowieka biorą, że dwa miesiące wcześniej upuścił dziewczynę z wrocławskiego radia i jej zresztą tenże utrzymanie przyznał skromnie, że miesięcznie utrzymanie domu, przy niepełnej obsadzie, waha się w granicach 2 milionów złotych.

— Dodaj także, że w tym obiekcie, przewidzianym dla około 200 wczasowiczów, zdarzały się turnusy, na które przybywało zaledwie kilka osób.

— Wiesz, nie wprawia mnie w zachwyt, ani niezależna linia telefoniczna, ani automatyczna kotłownia, ani podwieszane stropy. Ważne chyba, by teraz, już po zmianie właściciela, lepiej wykorzystać zainwestowane tu złotówki. Moim zdaniem, należy dla przykładu zrobić wszystko, by jak najszybciej, w szerszym niż dotąd zakresie, wykorzystać oczyszczalnie ścieków. Niech by z niej miała użytek cała Szklarska Poręba.

— Aha, teraz okaże się, że miasto nie ma — jak to zwykle bywa — niezbędnych funduszy...

— To cóż — „Granit” odbrązowiony?

— Nie wiem, czy odbrązowiony skutecznie, ale ugadaliśmy się „po pachy”; spróbujmy to jeszcze napisać.

— Można, tylko czy kto to kupi?

— Kupi, kupi; teraz tam każdego dnia przyjeżdżać będzie dziennikarska konkurencja...

# TOWARZYSZ „GRANIT”

— Były podobno jakieś konkretne propozycje ze strony Szwedów?

— No, widzę, że i ty lubisz plotki...

— Dlaczego plotki: ty pani Krystyna z pobliskiego motelu wyglądała mi na osobę dobrze poinformowaną.

— Ale chyba fantazjuje twierdząc, że obudziła się któregoś ranka i patrzy: wczoraj asfaltowej drogi do „Granitu” nie było, a dziś już gotowa...

— O tych wywożonych w nocy meblach i dywanach, gdy zdecydowano się oddać gmach władzom województwa — też chyba słyszałeś!

— Tak, i jak sam wiesz — nie udało się znaleźć naczelnego świadka. A pytał się przecież pani Jadwigę Musiał, kierowniczkę sąsiadującego z „Granitem” domu wypoczynkowego Politechniki Wrocławskiej, pana Rycia (który nazwiska nie chciał podać) — szefa budowy nowego obiektu dla tejże politechniki, pracowników wspomnianego motelu, no i pana Marka Jaworskiego, który jeszcze niedawno w tym domu KC pracował jako instruktor sportowy. Więc jeszcze jedna plotka.

— Dobra, dobra, ale czy nie można było lepiej przycisnąć kogoś z obecnych pracowników „Granitu”?

— A chcieli z nami rozmawiać? Oganiali się jak od natrętnych much, nawet panie kucharki obrzucały nas niezbyt cenzuralnymi słowami, gdy zaczęliśmy się kręcić w pobliżu ich królestwa.

— No, ale z jednym tośmy sobie choć przez telefon pogadali...

— Tak, nie zapomnę tej interesującej rozmowy z kierownikiem DW „Granit”, Zbigniewem Lutostawskim. My, że mamy poparcie i rezolucje Komitetu Wojewódzkiego na wizytę u niego on — że to nie interesuje, bo tu KC, a nie KW, rządzą. My — o potrzebie rzetelnej informacji i dementowaniu plotek, a on — że to go wciągnęło nie interesuje, w „Gencjanie” nie ma nic ciekawego, a od udzielania informacji jest KC.

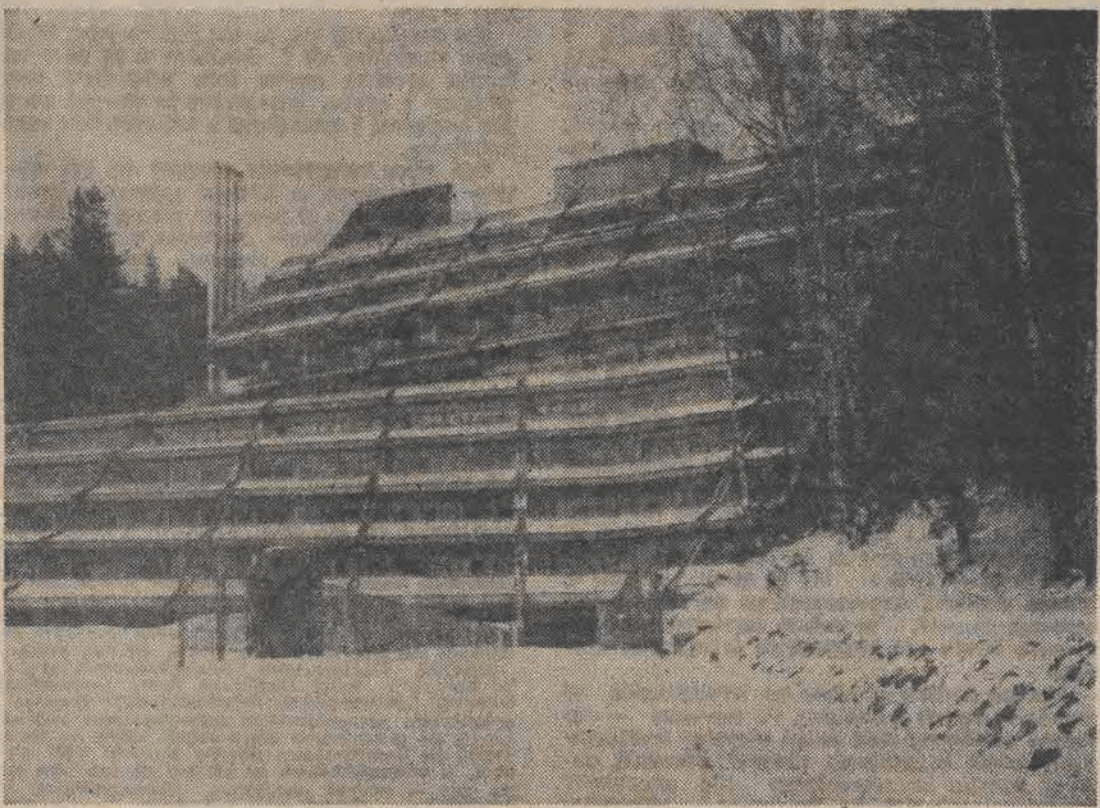


Foto: D. Dorożyński

— Stary, powiedz szczerze — trochę stymy „Granit” wart jest szumu, który rozszedł się już po całym kraju?

— Dom, jak dom, sam widziałeś. Osłem kondygnacji ściekających tarasami po zboczu, wkomponowana w górę — trzeba przyznać pięknie — bryła ze szkła, betonu i drewna...

— ...z łądowiskiem dla helikopterów, podziemnymi kortami tenisowymi, schronem przeciwatomowym oraz...

— Zbyt dosłownie przyjmujesz nie tylko miejscowe plotki. Kto ci o tym naopowiadał?

— Wiedzą o tym — jak zwykle w tym kraju — wszyscy!

— W takim razie posłuchaj, co na ten temat znalazłem w jednym ze „źródeł” — komunikacie nr 20 komitetu strajkowego w Jeleniej Górze z dnia 3 lutego br. Wyposażenie kotłowni w „Granicie” sprowadzono z RFN i Austrii. Jest to kotłownia automatyczna, opalana gazem i — awaryjnie — olejem. Do tego celu wykonano m. in. stację paliw i redukcji gazu. Sale jadalna i bankietowa wyposażone są w układ klimatyzacyjny zakupiony we Francji. W obiekcie znalazła się m. in. sala kinowa na 160 miejsc, kryty basen kąpielowy z podgrzewaną wodą, sauna, świetlica, kawiarnia, klub z kregielnią.

— Wielkie rzeczy, większość z tych „rewelacji” znaleźć można choćby w zakopiańskim „Kasprowym”.

— Zgoda, ale „Kasprowy” służy każdemu, kto ma tylko odpowiednią ilość forsy, natomiast „Granit” miał wyłącznie cieszyć — i cieszyć — dusze oraz ciała wybrańców.

— No, niejedną instytucję w tym kraju wybudowała sobie zamknięte domy wczasowe. Im bogatsza, tym gmach okazałszy.

— Tak, ale jak przyznała rządowa komisja, która przyjechała do Jeleniej Góry na rozmowę w „Gencjanie”, dom ten wybudowany został ze składek partyjnych, więc w zasadzie „Granit” powinien służyć trzem milionom członków PZPR.

— Ale od kogoż członkowie PZPR płacą składki w niedzielę, w „tuwoidal” walucie, za którą kupiono importowane urządzenia?

— Nie ciesz się szczegółów. W istocie nie idzie o „Granit”, jako taki, ale o fakt, iż kiął on w oczy każdego mieszkańca województwa, w którym czeka się na przykład dwanaście lat w kolejce na mieszkanie, a na jednego lekarza przypada bez mała 10 tysięcy mieszkańców. Pamiętaj, co mówił kierownik wydziału pracy ideowo-wychowawczej KW PZPR w Jeleniej Górze... Andrzej... Maohay? „Miasto miało to nieszczerze w szczególności, że w końcu pozostawiła nienaruszone zasoby mieszkaniowe i gdy w innych regionach rozwijano budownictwo, Jelenia Góra odkładana była zawsze do „greckiego kalendarza”.

— Reforma administracji też nie wprowadziła wiele nowego...

— Chwilczkę, oddajmy sprawiedliwość nowym wówczas władzom, także i sekretarzowi KW — Stanisławowi Cioskowi, który jednak jak mógł — a nie mógł — zrobić tak wiele — starał się rozwikłać najbardziej dokuczliwe problemy społeczne. I województwo to z ostatniego miejsca na liście krajowych zaniedbań, „skoczyło” o cztery pozycje w górę.

— Może po prostu gdzie indziej zaczęło być wówczas jeszcze gorzej? I może to tłumaczy zarzuty, jakie w Ciesku wysunięto pod adresem sekretarza Cioska. Znamy jakieś konkrety?

— Konkretów — niewiele, natomiast zarzutów — sporo. Choćby jeden z zasadniczych: ponoć były i sekretarz kosztom półtora miliona złotych wyremontował sobie wille, sprezentowano mu cztery garnitury z zakładów „Intermoda” z podwójnymi parami spodni i... złotymi guzikami, a pies sekretarza zamieszkiwał mahoniową budę.

— Tak, w rejonie górskim KW przyznał, że willa była remontowana, tylko że dom jest własnością komunalną. A co do kosztów, to trzeba teraz Cioskowi zwrócić około 160 tys złotych, bowiem jako przewodniczący WRN zgodnie z przepisami, powinien być zwolniony od świadczeń za lokal, gaz, prąd, itp. A płacił przez cały czas kadencji. Co do spodni, guzików i psa — to krąży po kraju jeszcze bardziej horrendalne bzaury.

— Nie zmienia to faktu, że osoba Cioska stała się jednym z głównych punktów pertraktacji między komisją rządową a połączonym komitetem strajkowym. Żądano odwołania go ze stanowiska ministra i pozbawienia poselskiego mandatu. Chyba więc popełnił jakieś błędy?

— Stary, pamiętasz, co powiedział Wałęsa na spotkaniu w „Gencjanie”?

— Owszem: „Z panem ministrem Cioskiem współpracuje mi się bardzo dobrze... Nie świadczy też źle o byłym i sekretarzu KW, że gdy rozpalaly się emocje w Jeleniej Górze, miał odwagę spotkać się z tysiąc osobową grupą przedstawicieli miejscowej „Solidarności”.

— No tak, ale mimo obietnicy, do drugiego takiego publicznego „meczu” w dniu 1 grudnia nie doszło. To ludzi rozczuliło.

— Bo Ciosek został już ministrem do spraw związków zawodowych, a po drugie — akurat odbywało się wtedy plenum KC Czyżby jednak nie wiedział 10 dni wcześniej o awansie?

— Wiadomo natomiast, że na drugie spotkanie przybył z miejscowych notabli jedynie prokurator wojewódzki, gdyż wzywać chcieli się na przykład dowiedzieć, czemu angażowano miejscowe przedsiębiorstwa przy budowie „Granitu”, gdy „leżało” budownictwo mieszkaniowe, obiekty służby zdrowia.

— Myślę, że aby się o tym dowiedzieć, nie

Porozmawiali sobie:  
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

TOMASZ JAWORSKI

ODGŁOSY 7



Wiele nadziei wiązałyśmy z importem zagranicznych technologii i licencji. Miały one stanowić fundament, na którym chcieliśmy postawić „drugą Polskę”. Nadzieje te zawiodły. Miał się wykształcić i unowocześnić potencjał techniczny naszego kraju, szybkiego rozwoju produkcji nowoczesnych wyrobów rosnącego eksportu — znaleźliśmy się w katastrofalnej sytuacji płatniczej.

Do 1978 roku Polska zakupiła 631 licencji, w tym 585 w tzw. II obszarze płatniczym. Do czerwca 1980 roku ogólna liczba nabytych licencji wzrosła do 647. Około 85 proc. licencji kupiono dla trzech resortów: przemysłu maszynowego, przemysłu maszyn ciężkich i rolniczych oraz dla przemysłu chemicznego. W okresie, który nas szczególnie interesuje, tj. w latach 1971-1978, nabyto 436 licencji, co stanowiło około 70 proc. wszystkich licencji kupionych w PRL.

Do 1978 roku było czynnych (tj. mających ważną umowę licencyjną w 1977 roku) 367 licencji pochodzących z 18 krajów. Około 85 proc. czynnych licencji przypada na trzy wcześniej wymienione resorty: MPM, MPMCR oraz MPCH, realizujące około 80 proc. całej produkcji licencyjnej kraju.

W tym miejscu narzuca się od razu pytanie: ile z zakupionych w latach 1971-78 licencji osiągnęło przewidywaną zdolność produkcyjną? Ale na ten temat nie ma informacji i prawdopodobnie nikt jeszcze w Polsce tego nie wie. Licencje wymknęły się spod kontroli, a może nawet gorzej — nigdy pod taką kontrolą nie były.

Oficjalne dane mówią tylko, ile w konkretnym roku jest licencji zastosowanych w stosunku do wszystkich licencji czynnych w tymże roku. Licencja zastosowana, to w tej nomenklaturze znaczy, że ruszyły maszyny i urządzenia. Ale nie to nie mówi o rozmiarach produkcji, o jej jakości, o udziale produkcji elementów i materiałów pochodzących z importu. Wiele z takich „zastosowanych” licencji przez całe lata pracuje na kilka — kilkanaście procent projektowanych zdolności produkcyjnych. Nie wiemy, jakie są rozmiary tego zjawiska. Nie wiemy, ile wygasło i nie zostało zastosowanych, tym bardziej nie wiemy, ile nie udało nigdy osiągnąć planowanych zdolności produkcyjnych. A jest ich trochę. Popatrzmy, jakie były losy licencji na produkcję antybiotyków w Tarchomińskich Zakładach Farmaceutycznych „Polfa” (z informacji pokontrolnej NIK).

W 1975 roku, po przeprowadzeniu dokładnego rozważania, zakupiono w firmie Squibb w Stanach Zjednoczonych licencję na produkcję penicyliny G, cefradyny, epicyliny, kwasu 6AP. Już w 1974 r. Komisja Planowania wyraziła zgodę na zakup licencji dla nikogo nie było, to więc zastanawiamy. Osobno wybrano realizatora pomocy inżyniersko-technicznej i usług wdrożeniowych. Wybór padł na firmę amerykańską McKee. Przy okazji budowy licencyjnej wytwórni antybiotyków miało unowocześnić — przy wykorzystaniu własnych technologii — produkcję erytromycyny, ampicyliny i carbencyliny. Za licencję zapłacono 3 mln dolarów, ale nikogo to nie przerażało, bo do 1981 roku mieliśmy spłacić dług eksportem antybiotyków.

W latach 1976-77 budowy wytwórni nie udało się włączyć do planów inwestycyjnych resortu chemii. W związku z tym już w 1976 r. porzucono prace badawczo-rozwojowe związane z wdrożeniem licencji. Podany w tym celu ważny inwestycyjny przyrostowy termin rozpoczęcia budowy w 1978 r. nie został dotrzymany. Realizacja inwestycji w NSPG na 1978 r. została zatwierdzona decyzją Prezydium Rządu nr 78/78 z czerwca 1978 r., a więc po 33 miesiącach od podpisania umowy z firmą Squibb i 29 miesiącach z firmą McKee. Budowa jest już obecnie opóźniona o dwa lata. Mimo przekroczenia planu finansowego o 1,8 proc. nie wykonano dwóch podstawowych zadań budowlano-montażowych: nie przekazano bazy transportu, nie zamknięto w stanie surowym budynku fermentacji. Przyczyny: brak ludzi u wykonawcy („Budochem”), brak żwiru, cementu, papy, brak wykonawców w „Rochemie”, brak półfabrykatów do robót c.d. wodno-kanalizacyjnych i wentylacyjnych. Nie ma też wielu urządzeń technologicznych, np. tanków cukrowych.

Zobowiązania licencyjne firmy Squibb wygasają we wrześniu 1981 r., gwarancje na wirówki, separatory, kolumny regeneracyjne i wiele innych urządzeń kończą się w 1981 r. Inwestycja — jak dobrze półdzie odiana — w 1982 r. Z antybiotyków przystąpić nie możemy. Trzeba będzie więc licencje przedłużyć na następne 3 lata, za kilka mln dol. Szczęść penicyliny kosztuje 1 mln dolarów. Wcześniej odobór, nim będą warunki produkcyjne, jest ryzykiem. Późniejszy — oznacza konieczność zapłacenia stopy inflacji i odsetków bankowych.

Oddanie inwestycji do użytku w 1982 roku nie oznacza jeszcze, że będziemy produkować potrzebne antybiotyki. Chyba, że większość surowców będziemy importować z k.

Aby mieć krajowe surowce, trzeba rozbudować bazę. Zapewnienie dostaw namoku kukurydzianego wymagaainwestowania 300 mln zł w PGR Niechcicie. Nie są zapewnione dostawy ciekłego azotu — obecnie dowozi się go z różnych miejsc, nieraz z odległości do 800 km. Nie słychać nie o innych potrzebnych surowcach.

Na import antybiotyków, niedostateczny, jak ocenia służba zdrowia — wydajemy rocznie 25 mln zł dew. O problemach Tarchomińskich Zakładach Farmaceutycznych NIK informował w specjalnych pismach m.in. E. Gierka, E. Babucha, wszystkich sekretarzy KC.

W 1978 roku udział licencji zastosowanych w ogólnej liczbie licencji czynnych wyniósł: w MPM — 73 proc., w MPMCR — 82,7 proc., w MPCH — 61,2 proc. Natomiast w całym ośmiolcioletnim okresie ten wyniósł od 61 do 73 proc. Oznacza to, że w każdym roku 1/3 licencji czynnych nie była wdrażana do produkcji.

Nie da się na podstawie tej informacji wnioskować o stratach ponoszonych co roku w wyniku opóźnień w uruchamianiu produkcji licencyjnej. Wyobraźmy sobie skrajny przykład pięciu licencji, z których cztery pierwsze dotyczą agrafek, haczyków, spinek i guzików, a ostatnia rodziny traktorów. Jeśli cztery pierwsze zostaną wdrożone w terminie i w terminie osiągnięta projektowana zdolność produkcyjna, a piąta ulegnie opóźnieniu, to wskaźnik zastosowania wyniesie 80 proc. — czyli nie najgorzej. Dopiero porównanie nakładów poniesionych na te inwestycje i wartości finalnego produktu daje wyobrażenie o ponoszonych stratach.

Dane te są więc mało precyzyjne, ale co gorzej — prawdopodobnie również mało wiarygodne. Otóż urzędowo podaje się, że: „Z ogólnej liczby licencji przewidzianych do wdrożenia w praktyce gospodarce zastosowano 42 tzn. 26 proc. w tym 26 proc. tematów licencyjnych nie uzyskano planowanych wielkości produkcji”. Ile wynosi ta „ogólna liczba” — nie wiadomo. Owe 26 proc. to prawdopodobnie 11 licencji, wynika więc, że 31 przedsięwzięć licencyjnych osiągnęło projektowaną zdolność produkcyjną.

Interesujący jest natomiast wynik kontroli NIK, którą przeprowadzono w I kwartale 1980 roku. Objęto nią ok. 50 licencji w czterech resortach: przemysłu maszynowego, maszyn ciężkich i rolniczych, przemysłu chemicznego oraz w hutnictwie. Z objętych kontrolą licencji, dla których upłynął termin zastosowania w produkcji, żadna nie przyniosła określonych we wnioskach o ich zakup lub w programach i pla-

nach, spodziewanych efektów produkcyjno-ekonomicznych.

Jako główne przyczyny kontroli NIK wymienia m.in.: nienaładzie zabezpieczenie interesów strony polskiej w umowach licencyjnych, brak należytego wyprzedzenia w przygotowaniu licencjodawcy, a w skrajnych przypadkach nawet szukanie licencjodawcy już po zawarciu umowy na zakup (np. licencja z firmy „Sundstrand” z USA na elementy hydrauliczne wysokociśnieniowe), kupno licencji na wyroby przestarzałe technicznie (np. kware syntetyczny), lub mające minimalne rynki zbytu (np. kable na licencji francuskiej dla Ożarowa, które poza Francją i Algierią nigdzie na świecie nie są stosowane), nieprzygotowanie krajowej produkcji kooperacyjnej i wiele innych.

Wskutek tego uruchamiano produkcję licencyjną znacznie po terminie, często już po wygaśnięciu umowy, co niemożliwa samospłate. Nie osiągnęto projektowanych zdolności produkcyjnych, w produkcji zużyto więcej materiałów i elementów kooperacyjnych pochodzących z importu przy jednoczesnym niedotrzymaniu wymogów jakościowych. Zamówienia eks-

portowe były niewykonane, a wydatki, również dewizowe, ponoszone na zakup licencji i uruchomienie produkcji, były wyższe niż zakładano, przy znacznie mniejszych efektach.

Uderzając jest ogromny udział importu inwestycyjnego i kooperacyjnego w całkowitych wydatkach na licencje. Tak wysoki udział tych składników kosztów licencyjnych charakterystyczny jest tylko dla krajów rozwijających się, które kupują całe fabryki. Kraje wysoko rozwinięte kupują jedynie myśl techniczną i niektóre specjalizowane maszyny. Nie stać wprawdzie naszego przemysłu, aby zapewnić gros sprzętu inwestycyjnego (maszyn i urządzeń) dla nabywanych licencji, ale na pewno również nie musimy kupować całości lub prawie całości fabryk.

Mimo iż w ostatnich latach zmniejszyła się liczba zakupowanych licencji, to nie mała udział importu kooperacyjnego i inwestycyjnego. Świadczy to, że poprzednio zakupione licencje nie dały takiego postępu technologicznego (a przecież to było decydującym argumentem za rozwijaniem importu licencji), który by umożliwił większe wykorzystanie krajowych maszyn i urządzeń w zagospodarowywaniu nowych technologii.

Jest to w równej mierze wynikiem złego wyboru pierwszych tematów licencyjnych, jak i niewykorzystania zakupionej myśli technicznej.

Udział wydatków dewizowych na licencje w globalnym imporcie kraju wzrósł od 4,8 proc. w 1974 r., do 6,7 proc. w 1977 r., natomiast w całym okresie importu z k. udział ten wzrósł z 8,3 proc. w 1975 r. do 13 proc. w 1977 r. Udział importu inwestycyjnego na zagospodarowanie licencji, w całym imporcie inwestycyjnym kraju nie przekraczał kilkunastu procent.

Analiza danych pozwala na wyciągnięcie co najmniej dwóch wniosków. Po pierwsze — nie można za obecny stan kraju obciążać wyłącznie działalność licencyjną; również pozostałe zakupy sprzętu inwestycyjnego nie przyniosły spodziewanych efektów. Po drugie — kilkudziesięcioprocentowy udział w imporcie inwestycyjnym związanym z licencjami w resortach decydujących o technicznych możliwościach kraju

zablokował możliwość racjonalnej modernizacji pozostałych technologii. Zostały one siłą rzeczy z tyłu i poziom ich stał się istotnym hamulcem w uprzedmiotowieniu rodzimej myśli technicznej. Import licencji zamiast te dysproporcje zlagodzić — pogłębił je.

Wartość eksportu towarów wyprodukowanych z licencji wyniosła do 1978 roku 16.809 mld zł dewizowych. Przypomnijmy, że import licencyjny poniesiony w latach 1973-78 zamknął się sumą 13,7 mld zł dew. Wydawać by się więc mogło, że eksport towarów licencyjnych zarobił przynajmniej na import nowych licencji. Ale to nieprawda. Bo z całego eksportu tylko 9793,2 mln zł dew. uzyskano za towary wyprodukowane z licencji czynnych, pozostałe 6816,2 mln zł dew. pochodzi z licencji wygasłych.

Nas obchodzi jednak głównie eksport do k., ponieważ z tego kierunku był największy import (ponad 90 proc. wartości całego importu licencyjnego — ok. 12,3 mld zł dew.) Okazuje się, że do 1978 roku za eksport do k. towarów wyprodukowanych z licencji czynnych uzyskali 4610 mln zł dew. Nie pozwala to na do-

konanie szczegółowego porównania, bo nie podaje się, ile uzyskaliśmy za eksport towarów z licencji wygasłych.

Jest to jednak bardziej różowe od rzeczywistości. Biorąc pod uwagę 43 proc. eksportu MPM, wykazane jako eksport do k., sprzedane było jako tzw. eksport wewnętrzny, czyli po prostu „poszło” w „Pewex”. Stanowi to ok. 32 proc. całego krajowego eksportu do k., tj. ok. 1540 mln zł dew.

Nie oszukujmy się, to nie jest eksport. Mniejszą siłą siłą i środkami, a za to z większym zyskiem można było taką ilość dewiz ściągnąć z rynku, importując te towary po cenie hurtowej i sprzedając z odpowiednią marżą handlową.

Tak więc rzeczywisty eksport do k. wyrobów licencyjnych (z licencji czynnych) wyniósł jedynie 3280 mln zł dew., co import na licencje z lat 1973-78 pokryło zaledwie w 27 proc.

Spróbujmy jednak dokonać jeszcze jednego zabiegu formalnego. Otóż w eksporcie wyrobów licencyjnych do k. ok. 58 proc. stanowią towary zjednoczenia „Polmo”, praktycznie są to samochody Fiat i podzespoły do nich. 58 proc. z 4810 mln, to 2790 zł dew. Oznacza to, że wszystkie pozostałe licencje czynne dały zaledwie 2020 mln zł dew. do 1978 r. Taki wynik jest żalostny.

Z wyników kontroli NIK: ZR im. M. Kasprzaka w ramach realizowanej od 1974 roku współpracy kooperacyjno-licencyjnej z Grundigiem, między do 1977 r. produkowało 600 tys. sztuk wyrobów z czego 50 proc. dla firmy Grundig. D., 1979 r. wyeksportowano 65 proc. uzgodnionej liczby, tj. 194 tys. sztuk. Do zakończenia kontroli NIK odbiorca nie przyjął ani jednej partii nowych odmian radiomagnetofonów (modelu typu RR-120, RR-220 i RR-450) z powodu kiepskiej jakości. W 1980 r. eksport tych wyrobów miał wynieść 356 tys. sztuk, a w 1981 r. 448 tys. sztuk.

Fabryka Mechanizmów Samochodowych „Polmo” w Szczecinie, która kupiła od firmy zachodniemieckiej „Zahnradfabrik Friedrichshafen” licencje na przekładnie kierownicze ze wspomaganem hydraulicznym do samochodów ciężarowych, miała wyeksportować do licencjodawcy wyroby wartości 7.100 tys. zł dew., a wyeksportowała za 658 tys. zł dew. Nie dość na tym — wartość elementów importowanych do produkcji przekładni w ogólnych kosztach materiałowych wyniosła 275-307 zł dew. zamiast 54 tys. zł dew.

Nie inaczej jest w wielu innych kontrolowanych zakładach, m.in. w Kombinacie Maszyn Włókienniczych „Polmatex-Wifama”, Fabryce Maszyn Włókienniczych „Polmatex-Wolma”, Nakielskich Zakładach Maszyn i Urządzeń Gastronomicznych „Sposmasz”, w Przedsiębiorstwie Doswiadczalno-Produkcyjnym Obsługowych Urządzeń Samochodowych „Polmoszyt”, w centrum Naukowo-Produkcyjnym Technik Komputerowych i Pomiarów i innych.

Gdy trzeba było unowocześnić wyrób — kupowano licencję z całym dobrodziejstwem towarzyszącego importu. Na świecie robi się to nieco inaczej. Kupuje się jedną lub kilka licencji na prawo produkcji elementów czy podzespołów, które w nowoczesnym wyrobie wymagają unowocześnienia, kojarzy się je z własnymi opracowaniami, i dopiero pod kątem uzyskanego rozwiązania kompletuje się brakujące maszyny, bez drogiego, a nie nie dającego pośrednictwa licencjodawcy.

Gdy trzeba było unowocześnić produkcję nowego wyrobu — kupowano licencję, nie bacząc na to, czy istniejące w kraju rozwiązania nie pozwalają na osiągnięcie tego samego mniejszym kosztem.

Innymi słowy, zamiast szukać optymalnego rozwiązania określonego problemu przemysłowego czy produkcyjnego, szukano optymalnych warunków kupna licencji. Często zresztą bez powodzenia. Nie chodzi o to, żeby potępić kupowanie licencji. Licencję trzeba kupować, bo to jest podstawowy warunek postępu, są one zresztą tanie. Trzeba jednak kupować te licencje, które są potrzebne, a niezbędne maszyny i urządzenia kompletować pod kątem własnych potrzeb, a nie warunków licencjodawcy.

Dla porównania — los trzech licencji kupionych dla Centrum Naukowo-Produkcyjnego Materiałów Elektronicznych: z Hiszpanii na elementy ozdobne z blachy aluminiowej, z Japonii na produkcję szklanych płytek połączonych pokrywanych przezystą warstwą dla wskaźników cyfrowych i z USA na kware syntetyczny (na podstawie wyników pokontrolnych NIK).

Licencje na produkcję elementów ozdobnych z aluminium zakupiono w 1976 r. w hiszpańskiej firmie Embega. Wniosek został sporządzony przez ZR im. M. Kasprzaka, które do produkcji „grundigowskiej” musiały importować elementy ozdobne. Za licencję zapłacono ok. 1,65 mln zł dew., za maszyny i urządzenia 70 mln zł (w tym 47,1 mln zł dew.) i za technologię ok. 13,2 mln zł dew. Licencję miało wdrażać w spółdzielni w Rykach, ale okazało się, że nie ma tam warunków technicznych. W 1977 r. przekazano ją do CNPME i uzgodniono, że produkcja licencyjna zostanie ostatecznie uruchomiona w końcu I półrocza 1979 r. w okresie 32 tygodni miało się szkolić 7 osób, a faktycznie w ciągu 40,5 tygodnia przeszło 11 osób.

W połowie 1979 r., kiedy budowa hali ciągnęła się i kiedy już było wiadomo, że produkcja nie ruszy w 1979 r., zaczęto organizować załogę i szkolić ją. Kiedy w styczniu 1980 r. rozpoczęła się kontrola NIK, załoga nie istniejącego Wydziału Elementów Ozdobnych liczyła 101 osób, które przychodziły do pracy, podpisywały listę i rozchodzili się; panowie do zajęć porządkowych, panie do domu, bo nie było dla nich ciekawych propozycji. Od sierpnia 1979 r. do stycznia 1980 r. wypracowano pracownikom 1.282 tys. zł. Do tego też trzeba doliczyć 60 tys. zł, których nie oddał firmie jeden z przeszkolonych w Hiszpanii; nie doczekał do chwili uruchomienia produkcji i trudno mieć do niego pretensje. Demagogicznie można by powiedzieć, że w tym czasie Warszawska Fabryka Butów „Syrena” nie wykonała tuś tam par butów, bo nie miała potrzebnej liczby pracowników.

Główny specjalista ds. przygotowania produkcji w ZR im. Kasprzaka, który podpisywał na zlecenie swoich szefów licencję, zapytany dziś, co w tych ozdobach takiego trudnego, że bez licencji ani rusz, odpowiada: „łatwiej było w tych latach o zakup licencji, niż o zakup maszyn i urządzeń. Potrzebne nam były maszyny, kupiono licencję”. Dodajmy: ciągle jeszcze nie w pełni wdrożoną. Nadal próbne raczej ilości ozdób do radiomagnetofonów i magnetofonów licencyjnych robi się z importowanej blachy aluminiowej, chociaż miała być wykorzystana blacha z Konina. Gwarancje na maszyny wygasła 19 maja 1979 r. Stały wówczas nie rozpakowane w magazynie w Pruszkowie.

Dzieje licencji na kware syntetyczny można opisać w kilku zdaniach: licencję wdrożono, „Omig” — jedyny krajowy odbiorca kwarcu zgłosił zapotrzebowanie na 4,5 t odtiera 1,8 t, a zdolność produkcyjna CNPME wynosiła 6 t. „Omig” nie chce tyle, ile zgłaszał, bo do dziś nie rozpakował zakupionej linii technologicznej do produkcji rezonatorów kwarcowych. Nikt od nas tego kwarcu nie kupi, bo wszędzie, gdzie to możliwe, zastępuje się go ciekliymi kryształami. Licencja zakupiona w amerykańskiej firmie Autoclav kosztowała nas 2,5 mln zł dewizowych, ponad 2,7 mln zł dew. wydaliśmy na maszyny i urządzenia. Prof. Jakowlew, dyrektor CNPME z okresu wdrażania licencji i już po jej uruchomieniu, proponował podjęcie rozmów z „Jubilerem”. Można by z tego kwarcu robić biżuterię...

O nie wdrożonej do dziś licencji na produkcję płytek podłożowych pokrywanych warstwą przewodzącą dla wskaźników cyfrowych z japońskiej firmy Ulvac ówczesny dyr. CNPME sam pisał, iż nie należy jej tam kupować. Polecał natomiast firmę z Lichtensteina jako lepszą, bardziej nowocześniejszą. Po dwóch tygodniach od wydania tej opinii, bez zmiany wniosku zakupowego umowę podpisano z firmą... japońską. Do Japonii też wysłano na przeszkolenie specjalistów. Jeden z nich odszedł przed czasem uruchomienia licencji (wiedział co robi), nie zwracając firmie kosztów szkolenia — 110 tys. zł. Nikt się o tę produkcję w CNPME nie upomina. Licencja kosztowała 1,5 mln zł dew., za 5 mln zł dew. sprowadzono maszyny. A import kooperacyjny miał wynieść rocznie średnio 100 mln zł dew. Widać sam los nam sprzyjał, że nie rozpakowano maszyn!

Dostaliśmy twardą szkołę. Ale może to właśnie było najbardziej nam potrzebne?

## KRAJ NA LICENCJACH



Foto: R. Łucyszyn

KRYSTYNA KARWICKA,  
ANDRZEJ SIŁUSZEK  
(„Przegląd Techniczny”)



Dalszy ciąg ze str. 1

kom losu, który zmusza go do kolejnych działań, wprawdzie szlachetnych w intencjach, lecz przynoszących, jak na ironię, coraz więcej zła, powodujących kolejne zabójstwa, pogłębiające żal, smutek i żalobę. Hamlet nie ma wyboru, a jego tragedia to poczucie odpowiedzialności za dokonania realizujące się fatum. Ową mroczną atmosferę niepokoju, lęku, złowieszczych wizji, tajemniczych i okrutnych wyroków, wraz ze wspaniałą muzyką znakomicie współtworzy ruchoma scenografia K. Wiśniaka — znaczący element ruchu scenicznego. W tym niezwykłym „Hamlecie” nie zauważa się braku słowa, słynnych monologów, filozoficznych wywodów grabarza, albowiem znakomicie rozbudowana gestyka, mimika i ruch sceniczny — niemy język pantomimy, cudownie wyraża istotę Szekspira. Potwierdza to Nagroda Klubu Krytyki Teatralnej im. Boya, wręczona Tomaszewskiemu po inauguracyjnym przedstawieniu, która została owacyjnie przyjęta przez widownię.

Na poprzednie spotkania Dejmkowski „Vatylav” nie dojechał. Mogły zatem istnieć obawy, że ten prawie dwuletni spektakl zestarzał się — stracił na aktualności i świeżości, że przesłanie polityczne, będące osnową estetycznej konstrukcji utworu, zagubiło swoją ostrość i wymowę wraz ze zmieniającym się kontekstem społecznym. Przedwczesne to były obawy, gdyż Dejmek wskazał, że sztuka Mrożka zawiera ponadczasowe historiozoficzne prawdy, ukazujące zasady i mechanizmy zmian społecznych, odnoszące się także do losów Polaków. Mrożek wplótł w swój tekst misterną konstrukcję pastiszową nawiązującą do przygód bohaterów powieści awanturycznej z okresu oświeceniowej literatury angielskiej, co podkreśla Dejmek przy pomocy Krzysztofa Pankiewicza (scenograf), wprowadzając dekorację kulisową — rozwiązanie scenograficzne właściwe wspomnianemu czasom. Świadczy to nie tylko o wyczuciu stylu i o szacunku dla teatralnej tradycji. Rozgrywana w tej scenierii akcja sugestywnie wyraża myśl, iż historiozoficzne zasady rozwoju obejmują w jednakowym stopniu wszystkie społeczeństwa, zarówno przed, jak i porowolucyjne (aluzje do rewolucji francuskiej i socjalistycznej). Fundamentem owych zmian jest, wedle Mrożka, przypadek implikujący nowe niespodziewane sytuacje i rozwiązania zarówno w życiu jednostek, jak i społeczeństw, wykluczający także sens istnienia sprawiedliwości (wymyśl pseudogeniuszy). Zatem zasadą jest brak zasad; świat nie jest zdeterninowany. Te idee uwydatnia długa seria scenek luźno ze sobą powiązanych, niekiedy samoistnych, wśród nich są i takie, których pojawienie się nie wynika z

logiki akcji, co sprawia wrażenie, jakby kabaretowej konstrukcji. Ale taka właśnie jest historia — powiada Mrożek i Dejmek. Ich czytelnie aluzje do gorzkiego losu współczesnego Polaka świadczą o głębokiej artystycznej i emocjonalnej więzi Dejmką — moralistą, i Mrożką — szydercą.

Refleksje na temat historii naszego kraju, które szczególnie dziś brzmią żywo i aktualnie, zawiera również spektakl „Sto rąk, sto sztyletów” Teatru im. Słowackiego. Jest to przedstawienie znane poza Krakowem, a jego zalety zostały formalnie potwierdzone ubiegłorocznymi nagrodami na Festiwalu Sztuk Współczesnych we Wrocławiu i Nagrodą Reżyserką im. Konrada Swinarskiego, przyznawaną przez redakcję dwutygodnika „Teatr”. Sztuka ta, w kontekście najlepszych dokonań sezonu, straciła jednak na wartości, ustępowała wyraźnie innym spektaklom. Stabatuko prezentuje się warstwa dyskursywna — myśli i refleksje na temat historii naszego kraju. Przedstawienie omawia wydarzenia Nocy Listopadowej, niestety w tej sprawie nic nowego nie wnosi, nic istotnego nie odkrywa; powtarza stare, strywializowane prawdy, przestrzega jedynie przed bliżej nieokreśloną prowokacją polityczną, lecz nawet i to ostrzeżenie rozmywa w wielu przeciętnych rolach i słabych dialogach. Rysunek bohaterów przedstawienia jest stereotypowy i powierzchniowy. Głębię przemysła, autor usiłuje uzyskać wprowadzając do sztuki sparafrazowane, podręcznikowe interpretacje Hégla (Marcin Walewicz — filozof), czy też oklepiane prawdy o ideologii politycznej, jakby dosłownie wzięte z popularnych „Tajemnic mafii politycznych” Józefa Kosseciego (Różnowski — urzędnik policji). Tekst wypełniają koniunkturalne i stereotypowe aluzje polityczne, którym wielokrotnie nadawał pozorów waleru „prawdy uniwersalnej i patriotycznej”. Jedyne co mogło imponować widzowi, to wcześniej wspomniany pomysł dramaturgiczny, czyniący miejsce akcji ze sceny, widowni i całego teatru (makrosfera) Kraśkowski wyreżyserował spektakl zgrabnie i rzetelnie — wykorzystując wszelkie niuanse formalne i treściwe. Całość wprawdzie jest utworem pustym, choć zwartym i spójnym wewnątrz. Jednakże nie jest to robota reżyserka tej klasy, co w „Hamlecie” i „Vatylavie”, choć równie gorąco oklaskiwana przez widzów.

O wiele więcej różnorodnych reakcji i pospektaklowych dyskusji od wspomnianego przedstawienia wzbudził „Rewizor”. Okazał się on interesującym studium porażki wybitnego reżysera. Jarocki, jako znawca literatury i dramaturgii rosyjskiej, zinterpretował Gogola po swojemu (wbrew odautorskim instrukcjom), włożył treść i sens wypowiedzi dramaturga w nową formę i ona właśnie

dominuje w tym przedstawieniu. Znać tu ogromny wysiłek twórcy, jego dbałość o każdy szczegół. Reżyser postanowił tę ironiczną parodię dodatkowo uatrakcyjnić — prześmiać prześmiewcę, uczynić z komedii superkomedię. Okazało się jednak, że groteskowych postaci nie należy dodatkowo ośmieszać. Nadmierna karykaturyzacja zniszczyła tragizm sytuacji, wymowę protestu wobec tyranii i łapownictwa carskiej biurokracji. Być może o porażce zadecydowała nieodpowiednia interpretacja dwóch głównych postaci, filarów przedstawienia — Rewizora i Chlestakowa. Liczne głosy polemiczne wzbudziła rola Jerzego Stuhra, który zerwał był (zamiast reżysera) ze stereotypem Horodniczego; nie był on ani poważ-

nym „rezonerem”, ani statecznym i „bardzo solidnie” zachowującym się starszym jęzowym. Stworzył postać pełną wigoru i temperamentu, chytrygo, podłego i głupawego urzędnika, jednakże nie przekonywał jako dostojnik i ostateczny despotyczny władcy. Natomiast Jan Karwin-Kochanowski, grający zgodnie z postulatami Gogola postać Chlestakowa — młodzieńca cieniutkiego, chudziutkiego i głupawego, zupełnie nie przystawał do ogólnej koncepcji reżysera, zdawał się być zagubioną ofiarą a nie pasywnym ofiarą carskiego systemu. Kolejny błąd reżysera to wyraźna niekonsekwencja, pęknięcie dramaturgiczne w pierwszym akcie przedstawienia, wynikające z niewłaściwego odczytania zdarzeń zawartych

w tekście. Dotyczy to nieodpowiedzialnych fantasmagorii Chlestakowa o własnym życiu i układach towarzyskich w Petersburgu. Zaskakuje zupełnie jego niczym nie umotywowana eskalacja zachwytów nad samym sobą podczas rozmowy w salonie. Tymczasem z tekstu wynika (akt III, sceny 5—10), że Chlestakow po powrocie z przeglądu miejscowych instytucji popija tego z miejscowymi notablami, co doprowadza go do niekontrolowanego wystąpienia. Wszak po fakcie Horodniczy oświadcza: „Teraz żałuję, że go tak ululałem...”. Bo pomyśleć, jeżeli choć połowa tego, co mówił, jest prawdą...” W tym nierównym spektaklu najlepsze wrażenie zostawiła scena triumfu Horodniczego i jej tragicomiczny finał.

W cieniu wielkich kreacji reżyserkich i rozognionych dyskusji znalazł się znaczący spektakl Teatru Polskiego z Wrocławia. Nowa „Ameryka” Grzegorzewskiego — weterana Warszawskich Spotkań, to na wskroś autorska prezentacja (reżyser, adaptator i scenograf), utrzymana w tonie osobistej wypowiedzi, jest — jak sam wyznał — sentymentalną podróżą do młodzieńczych lektur, mimowolnym powrotem do odległych doświadczeń z inscenizacji tegoż dzieła w warszawskim Ateneum, swoistą autoterapią neutralizującą głęboko odczute pierwsze reżyserkie niepowodzenia. Jest inscenizacja, która zawiera bliski mu program działania — artystyczne credo — wyrażone przez Robinsona zwracającego się do konającego Karla:

„Mówcie...! Któż ci się oprze, jeśli będziesz mówił... Pułap tego nędznego życia rozchylił się i wszyscy, pies przy budzie, wzniesiemy się do najczystszej wolności”. Jednakże emocjonalne motywacje reżysera schodzą na dalszy plan — w spektaklu przeważa intelektualny dystans, profesorski chłód, urzeka sprawność warsztatu; treść sztuki stanowi jakby tło dla wszechobecnej formy. Wymyślne i niekonwencjonalne ruchome elementy scenograficzne, pantografy wkraczające niespodziewanie w akcję sceniczną, przybliżające i oddalające od siebie bohaterów, rwące dialogi znamionują w tym utworze, wszechogarniające i nieznane postaciom tajemnicze, transcendentalne siły wyznaczające przypadkowe i niezrozumiałe dla nich koleje losu. Gra ciemności, brak kolorystyki, plamy wygasającego światła potęgują zagubienie, kosmar i beznadziejność. Nieokreśloność tej, jej okrutnym mechanizmem próbuje przeciwstawić się ludzki, naturalny i prostolinijny Karl Rossmann. W sytuacjach wyboru, gdy nie wie, co jest dobrem a co złem, opowiada się za lojalnością — opiekuje się pijanym Robinsonem, i zabiegając o jego względy Teresą. W walce z nieustannym zagrożeniem, nieuchronnością tocących się wokół Karla spraw (Rossmann ginie) rodzi się słabe i nieokreślone przecucie nadziei. Grzegorzewski wplata w finałowe akordy optymistycznej nutkę chrześcijaństwa, powiada, że gdzieś w dziwnym i odległym planie eschatologicznym (po śmierci) nastąpi finał człowieka losu — „Zobaczmy się w Oklahomie. To wcale nie takie trudne znaleźć się tam”

Również niesprecyzowana w pełni nadzieja będzie towarzyszyć oczekiwaniom na kolejne znaczące prezentacje w bieżącym sezonie teatralnym — nadzieja podsycana wagą problemów poruszanych na ostatnich spotkaniach. Mówiło się tu bowiem o sprawach ważnych: o wolności, o tożsamości narodowej, o uniwersalnych imponderabiliach bytu społecznego i kondycji ludzkiej. Chociaż nie wszystkie wskazane kwestie uzyskały odpowiednio wysoką oprawę artystyczną, to jednak do teatru zaczyna przenikać myśl i sens, przewyższając jałowość i dominację formy. Ale stało się to przede wszystkim za sprawą „Vatylava” i „Hamleta” — utworów, które powinny być zaszczytne poprzednie spotkania. Biorąc to pod uwagę, należy stwierdzić, że organizatorzy tej popularnej imprezy mieli rację powiadając, że wszystko pozostało po staremu, „ponieważ nie się w sposób istotny nie zmieniło w życiu teatralnym Polski”. Nie zmieniła się nasza scena — uległy zmianie Warszawskie Spotkania.

JERZY KOSIEWICZ

## NIE WSZYSTKO PO STAREMU

(Po XVI Warszawskich Spotkaniach Teatralnych)



Teatr Nowy w Łodzi, Sławomir Mrożek „Vatylav”

## BALET

Teatr Wielki wystąpił z kolejną premierą baletową. Jest nią inscenizacja „Fontanny Bachczysaraju” Borysa Asafiewa.

O „Fontannie Bachczysaraju” trudno byłoby powiedzieć, iż jest dziełem wybitnym, czy wspaniałym. Typowo ilustracyjna muzyka Asafiewa nie bliższy szczególnie uroda, a libretto Mikołaja Wolkowa, choć oparte jest na poemacie Aleksandra Puszkina, nie może poszczycić się wyjątkowo oryginalną konstrukcją. Jest jednak „Fontanna Bachczysaraju” dziełem

## „FONTANNA BACHCZYSARAJU”

poprawnym, a wywodząc się z ducha wielkich baletów romantycznych, odpowiada w zasadzie nakreślonym przez nie wymogom. Będąc utworem o kilkadziesiąt lat od nich późniejszym, balet Asafiewa spotyka się często z zarzutem wtórności i choć istotnie trudno dopatrzeć się w nim jakichś oryginalnych rozwiązań, to przecież może on stanowić interesującą dla każdego zespołu baletowego pozycję repertuarową. Znajdą w nim bowiem pole do popisu zarówno soliści jak i corps de ballet: soliści

w partiach stosunkowo celnie nakreślonych postaci, które obdarzone są przez twórców baletu silnymi namiennościami, a zespół — w wielu różnorodnych i efektownych tańcach znacznie ożywiających i dynamizujących opowieść o porwaniu przez Tatarów pięknej Polki i o tym, jak rozkochany w niej chan Girej zmienia się pod wpływem swojej nieodwzajemnionej, niestety, miłości.

Owe tańce zbiorowe celnie zresztą wplecione w całość utworu i dobrze w nim zakomponowane, bo nie stanowią wyłącznie ozdoby, ale połączone z główną nić fabularną, wydają się być mocniejszą stroną baletu Asafiewa. „Fontanna Bachczysaraju” ma więc szanse spodobać się widzom. Obok akcentów polskich, tak bliskich naszej publiczności, są w nim atrakcyjne elementy powszechnie lubianej egzotyki wschodniej. Można więc powiedzieć, iż mimo pewnych niedostatków kompozycji muzycznej, mimo schematycznego dosyć libretta „Fontanna Bachczysaraju” spełnia warunki utworu popularnego, a zatem przystępnego dla tzw. szerokiego odbiorcy. Poprawność wewnętrzną konstrukcji „Fontanny Bachczysaraju” i łatwość jej odbioru czyni z tego baletu utwór dający gwarancję powodzenia u widzów. Z tych zapewne względów dość często sięgają po dzieło Asafiewa nasze sceny. Tymi też względami poddyktowana była, jak sądzę, decyzja o wprowadzeniu go do repertuaru Teatru Wielkiego.

Jak już powiedziałam, nie jest moim zdaniem „Fontanna Bachczysaraju” dziełem wybitnym. Dzieł wybitnych jest zresztą w całej światowej literaturze baletowej niezbyt wiele. Niektórym wcześniejszym baletom tej samej klasy, ich dzieł scenicznymi wyznaczone kolejnymi, coraz doskonalszymi wykonaniami przydały większej rangi, ale większość tych utworów stanowi za ledwie interesujący materiał wyjściowy i tak-

że w ich przypadkach o ostatecznej ocenie tych dzieł decydują ich sceniczne realizacje, które mogą im bądź ująć, bądź przydać urody i wartości.

Owo przydawanie wartości, podkreślanie urody, eksponowanie elementów bezspornie cennych, jest zresztą zawsze ambicją wszystkich inscenizatorów i wykonawców wszystkich dzieł sceniczych. Ja zaś sądzę, że działania zmierzające ku tym celom są także ich obowiązkiem wobec wziętego na warsztat scenicznego utworu.

Jak zatem wywiązały się ze swych obowiązków twórcy scenicznego kształtu i wykonawcy „Fontanny Bachczysaraju”? Powiedzmy od razu i bez osłonek — zaledwie dostatecznie. Zbigniew Korycki (inscenizacja i choreografia) i Kazimierz Wienoek (kierownictwo muzyczne) zbyt czołobitnie podeszli do tego utworu, który domaga się przede wszystkim znacznych skrótów. Czteropaktowa wersja (z prologiem i epilogiem na dodatek) jest naprawdę za bardzo nużąca. Ową prolog i epilog uczyniłaby rzecz wystarczająco czytelną i choć w zamierzeniach twórców baletu miały zapewne z prezentowanego przez nich zdarzenia uczynić uogólniającą metaforę, to przecież nie robią tego aż tak, jak byśmy oczekiwali... itd, itd. Podobnych dłużyzn jest wiele, a orkiestra, wręcz celebryca swoje zajęcie, nie tylko nie uskrzydla działań podejmowanych na scenie, ale jeszcze dysharmonizuje je, czego zresztą dodatkowo czynić nie musi, bo harmonia i koordynacja ruchu i tak nie jest mocną stroną naszego zespołu.

Układ choreograficzny Zbigniewa Koryckiego wydał mi się po prostu mało interesujący, a miejscami wręcz nie do końca przemyślany i zakomponowany. Znalazły się w nim rozwiązania ciekawe (tańce wojowników tatarskich i tańce w haremie), ale polonezowi zabrakło

dostojeństwa, mazurowi — rozmachu, a sceny pałacowej strażnicy i tatarskich podchodów pozabawione są niezbędnej precyzji i w ogóle jakiegokolwiek choreograficznego rysunku. Sporo zastrzeżeń budzić też może podstawowa scena trzeciego aktu (tańce Marii i Zaremy). W tak zapromowanej jakości niewiele miejsca dla zaprezentowania swych umiejętności znaleźli mogli nasi soliści. Ewa Wycielhowska i Kazimierz Wrzosek tańczyli poprawnie, ale ich wykonaniu zabrakło tym razem blasku, w którym podziwialiśmy tych utalentowanych tancerzy w innych partiach. Ciekawe propozycje przedstawił Kazimierz Knol i Zbigniew Sobis. Najdłużej, dzięki świetnemu wykonaniu tańca z dzwonczkami, zostanie w naszej pamięci Dobrosława Gutek, najkrócej — dla ich własnego dobra — Andrzej Cybulski, Krzysztof Kullik, Tomasz Łukaszowski i Zdzisław Zieliński, którzy w tańcu przyjaciół Wacława dali prawdziwy popis braku harmonii i koordynacji, słabej skoczności i jeszcze słabszego wyrazu dramatycznego. Bardzo dramatyczna i dynamiczna Lilianna Kowalska pokazała zaledwie połowę swych znanych umiejętności i aż do ostatniej, dobrze aktorsko rozegraną sceny, czuło się, że jest wyraźnie skrepowana brakiem możliwości zaprezentowania swej bardzo dobrej techniki i dużych umiejętności dramatycznych. „Bajeczne kolorowa” scenografia Anny Rachej uderzyła mnie za dużą dosłownością, a kostiumy (z wyjątkiem kostiumów polskich z pierwszego aktu) brakiem subtelności i urody.

Premierowa publiczność przyjęła spektakl umiarkowanie. Być może nabierze on blasku w czasie normalnej eksploatacji. Podczas pierwszego przedstawienia zbyt dotkliwie czułam jego braki.

EWA PANKIEWICZ  
ODGŁOSY 9



2 marca 1980 roku zmarł, w wieku lat 86, Jarosław Iwaszkiewicz. Słownie do woli, wyrażonej w testamentem, pochowano go na cmentarzu brwinowskim, obok jego starszej siostry i żony Anny, w pobliżu ukochanego Stawiska, w którym zamieszkiwał od 1928 roku. Wraz ze śmiercią Jarosława Iwaszkiewicza odeszła w przeszłość wielka malownicza karta literatury polskiej. Był ostatnim z grupy Sikamandrytów, nadającej przez cały okres międzywojenny ton naszej poezji; po wojnie, przez dwadzieścia lat bez przerwy, był prezesem Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, a przez lat dwadzieścia pięć stał na czele redakcji miesięcznika „Twórczość”, tak zasnutej dla rozwoju życia intelektualnego w Polsce. My, jego przyjaciele i współpracownicy, nazywaliśmy ten czas epoką Iwaszkiewicza. Epoka ta, zamknięta jego śmiercią przed rokiem, charakteryzowała się tolerancją wobec odmiennych poglądów i troską o dobro nadrzędne, jakim była, jest i pozostanie sprawa polskiej kultury narodowej.

Pisarzy można podzielić na dwie grupy: takich, których wszyscy bardzo cenią, ale mało kto czyta, i innych, których cenią i lubią, ale których lektura ich utworów dostarcza nam wciąż nowych podnieć i wrażeń. Co o tym decyduje? Myślę, że obecność pisarza we współczesności, jego ciekawość ludzi i świata. Ale to jeszcze nie wystarczy. W dużym stopniu o tym, czy jakiegoś pisarza lubimy czy nie, rozstrzyga jego sztuka pisarska, sposób, w jaki przedstawia on swoich bohaterów, styl i język wypowiedzi. Tak już na ogół bywa, że lubimy prostotę, a nie lubimy pokrętności (zwłaszcza tej z zadaniem naukowym), lubimy u pisarza wrażliwość na przyrodę, przywiązanie do historii, miłość kraju ojczystego, ale i otwartość na świat oraz inne kultury. Otóż takim pisarzem był Jarosław Iwaszkiewicz. Lubie od dawna jego twórczość, a do wielu jego utworów powracam, ciesząc się ich literacką urodą.

Przez długie, 86-letnie życie Iwaszkiewicza ubierało się wiele wierszy, które pozostały na zawsze w książkach i pamięci czytelników. Jakże przejmujące, jakie piękne są ostatnie jego poezje z „Mapy pogody”, stanowiącej jakby podsumowanie całego życia pisarza, jego wlotów i upadków, osiągnięć i porażek.

Iwaszkiewicz uprawiał wszystkie gatunki literackie: prozę powieściową, nowelistykę, dramaty, esej, felieton, repertarz do podróży, był tłumaczem wierszy, sztuk teatralnych różnych pisarzy i traktatów filozoficznych Kierkegaarda, autorem książek muzycznych o Szopenie, Bachu i Szymanowskim. Ale sam uważał się za poetę. Poezja przepełniła i prześwietlała wszystko, co pisał. Na pytanie dziennikarza, jaka forma twórczości jest najbliższa jego sercu, Iwaszkiewicz odpowiedział: „Bez względu na poezję”. Słowa te powtórzył w wywiadzie dla „Życia Warszawy”, stwierdzając, że czuje się przede wszystkim poetą. Ale czy mogliśmy zapomnieć o jego znakomitych opowiadaniach: o „Brzezynie” i „Pannach z Wilka” (zekspluowanych tak udatnie przez Wajdę), o „Matce Joannie od Aniołów”, sfilmowanej przez Kawalerowicz, o „Młynie nad Utratą” i „Starej cegielni”, o „Zarudziu” i „Heydenreicu”.

Iwaszkiewicza interesowało zwyczajne życie zwyczajnych ludzi. W przedmowie do wyboru „Opowiadań” (1964) pisarz wyznaje: „Starałem się na tle polskiego krajobrazu umieścić ludzi prostych, bardzo zwyczajnych i ujrzyć ich los codzienny, jakby z tym krajobrazem zrośnięty”. Ale powiedzmy sobie, że ten los codzienny bywa często zupełnie niecodzienny, a zwyczajność ludzka niekiedy nadzwyczajna. I, zapewne, o to chodzi, aby pisarz zobaczył to, czego nie widzą inni, aby odkrył i uświadomił uczucia, których czytelnik się nie domyśla, i z których nierzadko

nie zdaje sobie w ogóle sprawy. Iwaszkiewicz uchodzi za mistrza opowiadania. Nikt temu nie zaprzeczy. Ale przecież uznanie dla jego nowel nie powinno przesłonić nam walorów jego powieści, spośród których wybijają się na czoło „Czerwone tarcze” i „Sława i chwała”.

Wszystko, co do tej pory powiedziałem, nie oznacza wszakże, że Iwaszkiewicz zamyka się cały jedynie w pejzażu ojczystym. On ten pejzaż kocha, chętnie w nim przebywa, podziwiając jego uroki i wspaniale go opisując, ale przecież nie przestaje być wrażliwy na urodę jezior, lasów, miast i wsi w innych krajach. Wystarczy wspomnieć tu „Nowele włoskie”, aby się o tym przekonać. Opowiadań, ukazujących i utrwalających krajobrazy „egzotyczne”, jest znacznie więcej. Znajdują się one w „Opowieściach zasłyszanych”, a także w wielu partiach „Sławy i chwały”, która prowadzi swoich bohaterów przez ziemię polską i ziemię poza Polską leżącą.

Całkiem niedawno oglądaliśmy w telewizji sztuki Iwaszkiewicza: „Lato w Nohant” i „Maskaradę”, a w Teatrze Współczesnym w Warszawie szło przy wypełnionej widowni „Wesele pana Balzaka”. Choć sztuki o Szopenie i Puszkynie powstały jeszcze przed wojną, wytrzymały doskonale próbę czasu i weszły na trwałe do repertuaru teatru polskiego, a „Lato w Nohant” przetłumaczone zostało na angielski, francuski, niemiecki, hiszpański i rosyjski.

W tym miejscu pora powiedzieć kilka słów o tym, jak przedstawia się recepcja dzieł Iwaszkiewicza poza granicami kraju. Otóż najwięcej przykładów jego książek ukazało się po rosyjsku i niemiecku. Tłumaczył Iwaszkiewicza na niemiecki, Klaus Staemmler, przełożył wszystkie najważniejsze pozycje pisarza, a po jego zgonie napisał o nim wspomnienie na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Warto przytoczyć z tego wspomnienia następujące stwierdzenie Staemmlera: „Wiele z tego, co napisał Iwaszkiewicz, przetrwa wieki”.

Dodajmy, że Iwaszkiewicz wiele podróżował po świecie, był przed rokiem 1939 dyplomata w Brukseli i Kopenhadze, miał wielu przyjaciół w każdym kraju. Jego bliskim przyjacielem był Franz Theodor Csokor, któremu po Anschlussie Austrii, gdy Csokor zbiegł do Polski, zaofiarował pomoc i mieszkanie w swoim dworcu w Stawisku pod Warszawą. W „Księżce moich wspomnień” Iwaszkiewicz z sentymentem opowiada o pobycie w Wiedniu na kongresie intelektualistów w 1926 roku. Przytoczmy słowa Iwaszkiewicza: „Temu pobytowi w Wiedniu zawdzięczam niezapomniane popołudnie, spędzone w jednej z kawiarń gdzieś na Graben, gdzie przesiadziałem ze trzy godziny w towarzystwie Pawła Valery'ego i Maxa Clausa, słuchając orkiestry grającej walce”. Do tej swojej pierwszej wiedeńskiej podróży powracał Iwaszkiewicz często we wspomnieniach i chociaż później odwiedził wielokrotnie stolicę Austrii — nie zatarło się w nim to dawne przeżycie sprzed lat. Pisał o nim w prasie polskiej i w książkach. Jego wielką miłością były Francja i Włochy. W ostatnich latach chętnie tam wyjeżdżał nie tylko dlatego, żeby zobaczyć stare ukochane miejsca i spotkać się z przyjaciółmi, ale także aby pisać. Tam powstało wiele jego nowel i wierszy, tam odnajdował to, co wiązało go z Europą i dodawało siłę do życia i literackiej pracy. W Paryżu narodził się jeden z najpiękniejszych wierszy, włączony do tomu „Lato 1932”. Przypomnijmy go w tym miejscu:

nie kuś mnie pomywaczko zielonych  
talerzy,  
Bo dziś jestem zmęczony, trzeba  
spocząć trochę,  
Bo jeśli kochać, to już jak należy —  
Bo kto nie całkiem kocha, ten wcale  
nie kocha.



Autor w rozmowie z Iwaszkiewiczem (w czasie uroczystości w ZLP w Warszawie z okazji podpisania umowy o wymianie kulturalnej między Związkiem Literatów Polski i Bulgarii).

Foto: B. Łomaczewska

JAN KOPROWSKI

# WSZYSTKO O IWASZKIEWICZU (w I rocznicę śmierci)

Lecz kochać — to się wiązać. A ja muszę w drodze  
I nie możesz się nawet o to na mnie gniewać,  
Ze cię całować nie chcę i pieścić nie mogę —  
Bo choć iść coraz dalej — coraz głośniejsz śpiewać.

Ale powróćmy do jego twórczości, pisanej w kraju, i do niego samego. Z jakim zainteresowaniem braliśmy do ręki wszystkie niedzielne wydania dziennika „Życia Warszawy” z jego „Rozmowami o książkach”. Nie uchylę nikomu (ani redakcji, ani jej współpracownikom), jeśli powiem, że wielu czytelników sięgało po „Życie Warszawy” przede wszystkim dlatego, aby przeczytać w nim felieton Iwaszkiewicza. O każdej nowej książce miał coś ciekawego do powiedzenia i coś do dodania, a jeśli przyszło mu zganić autora — czynił to taktownie i bez obrazu.

W ostatnich latach życia Iwaszkiewicza byłem częstym gościem w Stawisku pod Warszawą. Jako sekretarz Zarządu Głównego ZLP informowałem go o tym, co dzieje się w związku (zwłaszcza w okresach, kiedy był chory i nie mógł być w stolicy), a także ustalaliśmy terminy i programy prezydenckich i plenarnych zebrań naszej organizacji pisarskiej. Iwaszkiewicz zadziwiał mnie i wszystkich którzy go odwiedzali — pracowitością, szerokością swoich zainteresowań i fenomenalną wprost pamięcią. Potrafił ze szczegółami opowiedzieć, co działo się na imieninach jego matki sześćdziesiąt lat temu, jak były ubrane jego siostry i co podawano do stołu. Obladowany książkami orientował się dokładnie w nowościach wydawniczych i wciąż zaskakiwał nas wiadomościami, o których nierzadko nie mieliśmy pojęcia. Mógł powiedzieć o sobie słowami wiersza z „Mapy pogody”:

Posłuchaj słowa mojego prostego,  
Bo już nikt inny tak tobie nie powie.

Przysłowia są mądrością narodów,  
lecz są również takie, które nie wy-

trzymują próby życia. Mówi się, na przykład: nie ma ludzi niezastąpionych, i to nie jest prawdą. Można zastąpić wielkie umiejętności i wielką wiedzę, nie można natomiast zastąpić wielkiego talentu, który jest darem natury. „Maż tak wysokich talentów wyżył jest nad wszystkie pochwały” — pisał przed stu dwudziestu laty Franciszek Salezy Dmochowski. Wśród przymotów, którymi został obdarowany Iwaszkiewicz, podziwiałem wspomnianą już jego pamięć. Pamięć, która służyła jego twórczości i jego życiu. Dzięki niej przywoływał do istnienia sprawy dawno umarłe, służyła ona jego literaturze i oddawała wielkie usługi w kontaktach z ludźmi. Pamięć Jarosława Iwaszkiewicza rozciągała się na wszystkie dziedziny. Była to nie tylko pamięć przeżyć rodzinnych, pamięć ludzi i rozmów z nimi, była to pamięć drzew i kwiatów, pamięć przeczytanych dawno książek, pamięć zapachów i kolorów, pamięć najdrobniejszych szczegółów, które mają największe znaczenie.

Może dlatego pamięć ta robiła na nas tak wielkie wrażenie, iż jesteśmy świadkami, że żyjemy obecnie w czasach szybkiego i gruntownego zapomnienia. Kto znika z pola naszego widzenia, znika także z naszej pamięci. Zapominamy o ludziach, ich zasługach i dokonaniach, przechodząc nad tym do porządku i spiesząc się, nie wiadomo dokąd. Jarosław Iwaszkiewicz należał do tych, którzy pamiętają. Odpisywał na każdy list, przysyłał życzenia imiennowe i urodzinowe, czytał książki kolegów i mówił o nich, potrafił dać dowód pamięci odpowiednim upominkiem, rozmową telefoniczną, przypomnieniem jakiegoś mało znaczącego szczegółu, który nagłe okazywał się bardzo istotny.

Drugim przymiotem Iwaszkiewicza, który nie przestawał mnie zdumiewać, była jego ciekawość wszystkiego, co się dzieje. Interesował się wydarzeniami politycznymi, zajmował go świat i nasze własne podwórko. W czasie naszych licznych spotkań w Stawisku dowiadywał się o sytuacji w środowisku literackim, o nowe książki, o sprawy bliskie i

dalekie, bał nawet o plotki, chętnie suchał najnowszych dowcipów i anegdot. Przy czym rychło stawało się jasne, że o tym, o czym mówiliśmy, wiedział niejednokrotnie znacznie lepiej niż my, jego rozmówcy, a rozmowa służyć miała jedynie sprawdzeniu jego własnej, posiadanej już informacji. Obłożony książkami znał wszystkie nowości nie tylko z zakresu literatury pięknej. Zaskakiwał mnie wymienianiem tytułów, których jeszcze nie znałem, rozwoził się o tym, co go zachwycało lub co budziło jego sprzeciw, chwalił i ganił, w swoich „Rozmowach o książkach”, publikowanych na łamach „Życia Warszawy” przez dwadzieścia pięć lat bez przerwy, zwracał naszą uwagę na zjawiska, obok których przeszliśmy, być może, obojętnie.

Zadawałem sobie pytanie: kiedy on ma czas na to wszystko? Zajmował się przecież wieloma rzeczami: był posłem na Sejm, przewodniczącym Towarzystwa Polsko-Włoskiego, kierował polskim oddziałem SEC (Towarzystwo Kultury Europejskiej), piastował stanowisko honorowego przewodniczącego w Światowym Ruchu Pokoju, no i pisał. Pisał dużo i dobrze. Pamiętam słowa Jana Pilara z Pragi: „Ten Iwaszkiewicz pisze teraz lepiej niż dawniej. A dawniej też nie pisał źle”.

Trzecią cnotą, którą chciałem brać sobie za wzór, była jego wyjątkowość. Miał doskonale zorganizowany warsztat pracy. Nic nie umykało jego uwadze, o niczym nie zapominał. Chodził na koncerty, wystawy, odczyty, przyjeżdżał i pracował codziennie i systematycznie. Tylko czkowiek prawdziwie zajęty ma czas na wszystko. Przypominał jako pisarz Tomasz Manna, który mawiał: „Staram się każdego dnia napisać przynajmniej stronik. Jeśli w roku nigdzie nie wyjeżdżam, mam napisane 365 stron”. A Iwaszkiewicz miał ten dar, że pisał również w podróży. Wiele jego rzeczy powstało w Rzymie i na Sycylii, w Paryżu i Lizzano, w Kijowie i naszym rodzimym Sandomierzu.

Kiedy go pytałem, czy nie męczy go wiek, odpowiadał: męczy się, gdy nic nie robię. Mówił: stary Hamsum twierdził, że lata nie dają mądrości, że prócz starości, lata nie nie dają. Iwaszkiewicz replikował: „Hamsum był wielkim pisarzem, ale zgłupiał na starość, zaprzędając się hitleryzmowi i może dlatego był zdania, że starość nie przynosi mądrości. A moim zdaniem, starość to mądrość. Wiem więcej, niż wiedziałem dawniej, gdy byłem młody. Wiesz, co najbardziej dokuca w starości? Nie ląka, lecz wspomnienia. Nie możemy się tych wspomnień pozbyć, ani o nich zapomnieć. To jest brzemień, które nas przysięga. Ale z drugiej strony — dodawał po chwili — człowiek, który nie ma przeszłości, nie istnieje. Tak samo jak naród. Co byśmy byli wariaci bez Wawelu, kolumny Zygmunta, warszawskiej Starówki, Gdańska i Torunia? Tyle co i nic. Przekonuje się coraz bardziej, że teraźniejszości właściwie nie ma, że tak naprawdę mamy tylko przeszłość i przyszłość. Bo gdy sobie z czegoś zdamy sprawę, gdy sobie uświadomimy, co się stało — wydarzenie należy już do przeszłości. Już jest dniem wczorajszym. A przyszłość jest niewiadomą. Więc żyjemy tym, co było. Moja przeszłość mnie przysięgała; czasami męczy, ale moja przeszłość należy do mnie i dzięki niej jestem tym, czym jestem”.

Wielki żal, że już nigdy nie będzie można pojechać do Jarosława do Stawiska, że nie będzie można wypić znakomicie zaparzonej herbaty i posłuchać jego wyznań o tym, co było wczoraj i co zdarzyło się sześćdziesiąt lat temu. Wielki żal, że z okien jego gabinetu na piętrze nie zobaczymy wysokiej topoli, rozchwianej na wietrze, i nie usłyszę anegdoty, która rozniesza i daje do myślenia.

Wiem, że odszedł rok temu, ale ciągle jeszcze trudno się z tym pogodzić.

RECENZJE

„Rozstaniom” dał Henryk Panas podtytuł: szkic autobiograficzny. Nie jest to zupełnie ściśle, bo „Rozstania” to zaledwie wstęp do szkicu autobiograficznego, to wspomnienia obejmujące pierwszy okres życia Panasa, od

## POCZĄTEK AUTOBIOGRAFII

najwcześniejszych zapamiętanych lat dzieciństwa po czas młodości. Każdy, kto miał przyjemność bezpośrednio zetknąć się z Henrykiem Panasem wie, iż jest to człowiek niezwykle dowcipny, o znakomitym wciąż refleksie, sceptyk przy tym, lecz sceptyk trochę dobrośliwy. To znaczy taki, który swym oponentom i przeciwnikom daje szansę, który postępuje „fair”. Poszukuje prawdy, a nie zwycięstw za wszelką cenę. Z lektury „Rozstań” wynika, że wszystkie te cechy wyraźnie i lirycznie ukształtowały się już we wczesnej młodości. Pisał

Panas wprost: „Wszystko co dobre i złe w nas nabywamy w wieku dziecięcym i choć nie wierzę, że człowiek rodzi się tabula rasa, jednak to, w co wyposaża nas sama Natura, jest tylko materialem wyjściowym, z którego życie rodzinne kształtuje późniejsze charakter. Wprawdzie z lichego materiału nie powstanie nic dobrego, ale znacznie łatwiej jest zmarnować dobry, niż ze złego coś zrobić”. Stanowczo nie wypadła w tym miejscu zdradzać, jaki materiał stanowił późniejszy pedagog i pisarz, autor „Według Judasza”.

Skoro padł już tytuł najgłośniejszej, przełożonej na wiele języków, powieści Henryka Panasa — rzecz trzeba, iż większość wspomnień wyjaśnia, w jaki sposób powstawały zainteresowania bardzo młodego człowieka tą problematyką, która znalazła wyraz we wspomnianym utworze. Od najgłośniejszych przejawów kształtowania się światopoglądu opartego na sceptycyzmie wobec tego, co podawał dom, szkoła i Kościół, po wyspecjalizowaną problematykę, której wyrazem była pisana krótko przed maturą powieść na temat życia Jezusa. Z braku gruntownej wiedzy została rychło odłożona na półkę, zrazu na trzy lata, a potem na lat czterdzieści. Rękopis przetrwał burzliwe czasy, zaś przytoczony w „Rozstaniach”

rozdział szósty owej powieści wykazuje wcale niemałe uzdolnienia epickie Iwowskiego maturzysty.

Bezpośrednim potwierdzeniem tylko co wymienionego przewodniego motywu wspomnień jest pomieszczenie w książce posłowie do „Według Judasza”. Z uśmiechem kwituję w nim zaszczytne, choć niekiedy wyraźnie uszczypliwe, sądy, potem zaś — by uniknąć w przyszłości zbędnych nieporozumień — wyjaśnia szczegółowo własną hipotezę, która legła u podstaw powieściowej wersji postaci Judasza. Nie miejsce tu oczywiście na jej relacjonowanie. W każdym razie powieść „Według Judasza” doczekała się nowego, gruntownego posłowie w postaci całych „Rozstań”.

Tyle, jeśli chodzi o wydobywanie wątków „pisarskich”. Ale przecież „Rozstania” są w gruncie rzeczy przypomnieniem „szczenięcym” czasów, przypomnieniem miasta, rodziny, kolegów, nauczycieli. Atmosfery lat dwudziestych, lyczkowskiego folkloru, charakterystycznych dla piosenek, rodzinnych obyczajów, chłopięcych zabaw i pierwszych flirtów, serdecznych, choć może i zabawnych czasem, pedagogów. Napisane z rzetelnością, sentymentem i humorem, dają świadectwo o odległej o pół wieku epoce. Pokazują okoliczności, w jakich ukształ-

PROZA

towała się niebanalna osobowość. A warunki nie były łatwe. W domu — jak to się powiada — nie przelewało się. System wychowawczy opierał się na harapie (składającym się z rękodzielników w postaci sarniej nóżki oraz kilku rzemieślników i obietnicach oddania do szewskiego warsztatu pana Zagiczka. Można wyuczyć, iż brak rodzinnego ciepła doskwiera jeszcze po wielu latach...

Przypuszczalnie należy, że „Rozstania” stanowią początek autobiografii. Ma bowiem Henryk Panas jeszcze o czym pisać: był żołnierzem, walczył pod Monte Cassino, był osadnikiem na Ziemiach Zachodnich i Północnych, uczył młodych ludzi, pracował na roli, współorganizował kulturalny Olsztyn, nade wszystko zaś pochłaniał go literatura. Oczekujemy zatem na ciąg dalszy.

TADEUSZ BŁĄZEWSKI

H. Panas, „Rozstania”. Szkic autobiograficzny, Pojezierze, Olsztyn — Białystok, 1980 s. 175.



EWA FILIPCZUK



Wymyślona tak dawno dawno mną się stała cyrkówka ladacznicza na wpół obłąkana kobieta z moich wierszy nie pragnie nikogo więc zdradzam jej samotność uciekając z tobą

Mój drogi jesteś śmiercią której nie czekałam dla stworzonej przeze mnie ulomnej i chorej Co stanie się z jej twarzą kiedy ją odbiorę? Czy jej nie pęknie serce gdy będę szczęśliwa?

Wymyślona tak dawno gdzieś się zapodziałam i blisko ciebie z tobą nie jestem prawdziwa Ta którą kochasz mój drogi ta z którą rozmawiasz

która nie umie płakać jak oddech nie trwała jest moim odbiciem w lustrze rozbitym na śmieci syplą się dawne słowa w proch rozpada wiersz

PRAGNIENIE

trzeba zachować pozory księżę myszkin słysząc to odwraca się sadza na kolanach dziecko głodzi drżącymi palcami idioty dziecko co mówisz ja miałbym udawać twoją gorącą skórę i moje pragnienie miałbym stracić te chwile przestraszyć się uciec

po tylu śnieżnych zamieciach na świętej syberii

abym nie był kim jestem abys była moja tu zamilkł księżę myszkin rozejrzawszy się wkolo i pod sukienkę dziewczynki która go kochała włożył płonące dłonie leć, śmierci nie było powiedła go kropka potu wąska szaleństwa ścieżka

POETA

...żadnych słów, potrzebne są obrazy. Na przykład: cyrkowe konie w galopie z płonącą woltjerką,

a kiedy spada jak gwiazda, ludzie życzą sobie prawdziwych przyjaciół, zwycięskich wojen, dziewczyny na dobranoc, spokojnego snu... Słowa są niedorzeczną próbą. Słów nikt nie czyta, nie rozumie, nie chce. Mijają miesiące i chwile; bycie poetą to nieudana śmierć, wybieranie z ognia wygasłych węgli, mówienie sobie: jestem gorszy. I peleryna nie trzyma się ramion.

Gorzko-słodkie słowa, słowa jak ziarnka piasku.

Nikt go naprawdę nie słucha. Wtedy odchodzi od siebie. Spotyka się go na torach. Wędruje wzdłuż szyn

uparcie milcząc, czasami tylko gwizdzie przeraźliwie na widok pociągu.

WIECZÓR

Zdejmuję sukienkę i czas który cicho zawodził na moim przegubie Ścieram codzienną uprzejmość lakoniczny uśmiech strach że nie pojawi się nic na co czekam Zdejmuję pantofle Rozkładam wiersze Skreślam słowa Wyrzucam kartki pełne znaków zapytania

Moja obecność jest tak zwyczajna w tym domu (pachną perfumy nieład i maszyną do pisania wiecznie otwarta) że tylko ja się dziwię sobie

Odwracam lustro Nie chcę żeby noc widziała czarną kropkę stygmat



Waclaw Kondek, „Pieta II” — litografia, 1975.

Na Starym Mieście, przy rogu ulicy Świętojańskiej i Ryńku, pośniewała wieczorami latarnia w rzeźbione ujęta dziwośląg. Różowożółte smugi błękitno po ziałomach starego domu. Jeśli powiew lekko poruszał wiszącą latarnią, wtedy ze wszystkich najbliższych zakamarków wybiegały spłoszone, chude cienie i ślaniając się uskakiwały przedko za szkarpy lub chowały się do dalszych wnęk.

Pod wielkimi łukami sklepienia gwar i śmiech. Przy stołach goście rozsiadli się wygodnie, przed nimi dzbanki z winem, flaszki pekaty, kufle porcelanowe i metalowe kubki. Światła dosyć, ale nie za wiele, aby zabawie nie odbierał intymnego uroku.

Właściciel winiarni „Pod błękitną podwiązką”, spolszonymy Francuz — jedni mówili, że nazywa się Duvall, inni, że Renard, ale mniejsza o to — co noży suto napelnia sakiewkę, a z brzuchatych beczek, przyparych do muru, ciekną prawie bez przestanku wina doborowe i mocne.

Wielu tu teraz młodzieńców cywilnych i wojskowych przychodzi, odkał córeczka grubasnego winiarza pewnego dnia ukończyła szesnaście lat.

Śliczna winiareczka, Henrietta, sama podaje wina, miody i zakąski, zwabiając co wieczorem tak mnogo gości krasą swojej twarzy i śpiewaniem piosenek. Naprzód śpiewa, potem wysłuchuje, co młodzieńcy i starsi szepczą jej do uszka — jakie namowy lubościwe, gdy się któremu uda ją ku sobie przyciągnąć. Nie na długo, bo wprędce odbiega i tylko brzęczy jej czysty śmiech wśród brzęczących pucharów i szklenic.

Najbardziej zapalczywy jest młody porucznik gwardii królewskiej, Paweł, który w cichych rozmowkach zaprzysięga się nawet:

— Henrytko, chcesz, to się z tobą ożenię.

Henrietta nie dowierza: — Alboż to prawda? Pan oficer jest żartuje, bo ja tylko córka winiarza, mieszczańskiego stanu.

Henrietta nie jest marzycielką. Mimo to czeka na coś. Zdaje jej się, że zdarzy się pewnego dnia jakaś ekstrordynaryjność.

Bo któż jeszcze przed rokiem do niej się zalecał? W dzień czeladnicy szewscy, krawczyki, posługacze, a wieczorami, w winiarni, astmatyczny imć Bonawentura, powrótnik z Wąskiego Dunaju, albo przetuszczony imć Barabasz, właściciel składu z szuwaksem, czy dosyć jeszcze jary Franciszek Drian, handlarz win, a jeśli młodzi — to obiboki.

Teraz już co innego. Kadeci i panowie oficerowie królewscy, dworzanie, zagranicznicy, których mnóstwo się po Warszawie włożyło, odkał obcy, saski elektor — Bóg raczy wiedzieć, po co? — wybrany został na króla polskiego. Coraz lich więcej zagłada do winiarni, zwiędziawszy się o uroczej warszawiance ze Starego Miasta.

Więsie o pięknej winiareczce ze Świętojańskiej doszła aż do uszu królewskich. Lubit August Mocny z nudów posuchać, co tam w antykameryze opowiadają sobie jego oficerowie, bo gadali najczęściej o dziewczętach. Od pewnego czasu raz po raz powtarzają „Henrytkę i „Henrytkę”, albo na odmianną „Henrietta”, „Henrietta”.

„Ejże, aż taka miła? — dziwił się August Mocny, lowkobiet i zapamiętały lubownik płci pięknej. — Muszę ja sam zobaczyć, a może i pokoszować ten marcypan”.

Zaraz zaweszał swego zaufanego adiutanta, von Rantzau, kompana różnych skrytych eskapad, i umówił z nim nocną potajemną wycieczkę. Pójdzie incognito do piwniczki Duvalla przyprzyć się tej Henriecie.

W najbliższy wieczór więc, w przebraniu ofiera, król wykradł się z zamku wraz z oddanym adiutantem.

Weszli do piwnicy i zatrzymali się nad schodkami wiodącymi do wnętrza. Wśród przepelnionej sali dała się widzieć różowa postać. Jej szczypta kibić, cienka w pasie, upodabiała ją do pszczołki unoszącej miod. Głowę miała czarnowłosą, twarzyczkę małą, rumianą, z błyszczącymi oczami, urodziwą nad wyraz.

Przypatrzył się temu kształtnemu obrazowi schodziłi dwaj nieznajomi do winiarni, mając się ku ławoj jakiemu, skąd widok byłby dogodny. Zaraz sam gospodnik podszedł ku nim z ukłonem, widząc znajomego, często zachodzącego tu ofiera, który przywodził koleje. Uniform nowego gościa wskazywał na znacniejszego pana oficyera. Gospodarz poprowadził ich do osobnej salki, skąd mieli wyzier na główną salę i sam dopinował, aby dla gości wybrano przedniejsze wina.

Wkrótce Henrykta weszła do salki z winem i delciami.

— Witaj, miła jejejmie! — powitał ją znajomek — A oto przyprowadziłem koleje którą tyłe słyszae pochwał o tobie, chciał się naocznie przekonać, czy oficerowie nie przesadzają.

— Na pewno przesadzają — odpowiedziała zalotnie. Uśmiechnęła się do nieznajomego, bacznie lustrując go wzrokiem.

Król nie spuszczał oka z Henrietti.

Ujrzał ją przez ozdobną kratę okienka, jak pomknęła ku podwyższeniu, gdzie stanawszy, ujęła w palce spódniczkę i pofalowałwszy nią w kilku ruchach tanecznych, zaczęła śpiewać.

— Jakaż jest? — zapytał von Rantzau króla, ale ten już nie wiedział, co do niego mówi.

Natomiast pieśniarka, ukończywszy piosenkę i dziękując za huczne oklaski, spojrziała ukradkiem w stronę nieznajomego. Potem przedko znikła w framudze, skąd drzwiami dostała się do pokoiku.

— Widzisz, zniknęła — niepokoił się August Mocny. — Co to za przekorna dziewczyna! Poszedłbym tam za nią, ale mi ojciec gotów powiedzieć: „Tu jest winiarnia, mości panie, a tam jeno izby mieszkalne”.

— Wszystko gotowi jesteście zepsuć, najjaśniejszy panie, zbytnią zapalczywością — przestrzegali adiutant. — Ojciec strzeże córki, bo tu dużo chętnych.

— Żeby tylko ustrzegł — powiedział August tak serio, że zausznik spojrział bacznie.

Niepotrzebnie martwił się August, bo po jakimś czasie Henrietta ukazała się znowu, jeszcze urodziwsza, snadż jakimś sztukami niewiędziemi podkreśliwszy swą urodę. Pokręciła się chwilę wśród gości i nieznacznie zbliżyła.

Dziewczyna usiadła przy nieznajomym. Drugi oficer przyglądał się z zaniepokojeniem.

— Nie się waszmość panu nie stanie, panie oficerze, gdy przy was usiadę — rzekła Henrietta. — Korona panu z głowy nie spadnie, bo jej nie masz — zaśmiała się ubawiona swoim konceptem. Rantzau uśmiechał się niewyraźnie.

Henrietta za to odzyskała wesoły nastrój. — A jeśli nie chcecie ze mną rozmawiać — spojrziała zalotnie na nieznajomego — to... nie mi to

nie będzie wadziło — przedrzeźniała go.

— Henrietto, jesteś bardzo przyjemna, chętnie bym cię przytulił.

— O, nie, nie, bo ucieknę!

Henrietta zerwała się, lecz usiadła z powrotem i dodała cichym głosem:

— Nie czyście tego, panie, bo ojelec zobaczy.

— Nie będe, lecz nie uciekaj. Przy tobie młodzy dla mnie czas, miłsze chwile.

Popatrzyła na niego i ujrzała potwierdzenie w gorącym spojrzeniu.

— Kto wy jesteście, panie, i co ja was obochodzę? Mówicie tak tylko, aby mówić.

— Mówię co czuję. Słyszałem o tobie, a kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem że za mało jeszcze mówił.

Objął ją, lecz Henrietta szepnęła pośpiesznie:

— Tatuś patrzy.



Nieznajomy z niecierpliwością uchwycił kubek metalowy, ścisnął go dłoń, spłaszczyl, potem palcami rozgiął i rozdarł na kawałki jakby papierzany.

— A też nam tatuś potrzebuje, aby psul konwersacje — mruknął.

Henrietta patrzyła na te manipulacje w zdumieniu

— To wy, panie, jak król jesteście mocni!

Zmieształ się nieznajomy i zapytał:

— A widziałaś ty króla?

Dziewczynie roziskrzyły się oczy.

— Dwa razy go widziałam. Raz na koronacji w Krakowie. Taki był piękny!

Henrietta spytała roztargnionym głosem:

— A wysię króla widzieli?

— O, nie raz — odparł August z głębokim przekonaniem.

„Chyba w lustrze” — pomyślał adiutant, w milczeniu przysłuchujący się znad swojego dzbana rozmowie.

— Powiedz mi — szepnął nieznajomy Henriecie — czy przybędziesz jutro na spotkanie ze mną?

Dziewczyna przycisnęła obie ręce do serca, nie nie mówiąc.

— Cheesz? — pytał August, natarczywie.

— Chcę — odpowiedziała cicho.

— Przyjdiesz więc?

— Nie wiem.

Spojrziała na niego hardo: — I dekadzie to?

August wychylił czarkę wina, zabrawszy ją adiutantowi. Przynęął się do dziewczyny i szeptał jej:

— Czy możesz wydstać jakiś męski strój? — Skinęła głową. — To przebrzeż się za mężczyzno. Jutro przed południem u wylotu Podwala będzie czekała karetka. Gdy przekonasz się, że nikt cię nie widzi, wskocz szybko do tej karety, a ona przywiezie cię do mnie.

Henrietta pobladła.

Gdy chwilę nie odpowiadała, rzekł August znou:

— No, jakże?

Henrietta zwróciła ku niemu duże oczy i zapytała:

— To wy, panie, macie karetę?

Naraz stanął przed nimi ojciec, któremu coś się zaczęły nie podobać te konszachty.

— W sam raz przychodzisz, mości gospodarzu, bo czas nam iść — rzekł gość, rzucając sztukę złota.

Adiutant pomyślał w duchu kpiąco: „O kilka chwil za późno przychodzisz, mości gospodarzu”. Dwaj oficerowie, okrywysy się płaszczami, wyszli z winiarni. Szczególnie wyższy i rosły oficer szczerze zakrył mundur, pod którym mógłby bystry obserwator na kamizelce dojrzeć królewski order Białego Słonia.

Zaledwie jednak postąpił kilkanaście kroków w mrok ulicy Świętojańskiej, kierując się ku Zamkowi, gdy z załomu wysunęli się dwaj gwardziści.

— Zatrzymajcie się, panowie! — zawołał jeden z nich. Był to Paweł, który dobrał sobie kompana i pragnął rozprawić się z nieznajomym rywalem. Zaraz on dostrzegł zazdrosnym okiem w winiarni, że jego ukochna a kapryśna Henrietta za często zachodziła do salki, gdzie przebywali dwaj Sasi i że za długo tam przebywała.

Paweł wyciągnął szpadę i zakrzyknął:

— Panowie galanei, dowieście się, że nie żyję sobie, aby się lnni tak natarczywie zalecał do jejejmie! Henrykty i że naprzód muszą ze mną skrzyżować szpady!

Rantzau wystąpił naprzód zasłaniając króla. August był dobrym szermierzem, ale mógł przecięć odebrać ranę i cała sprawa zakończyłaby się głośnym skandalem. Lecz już i drugi nastąpił obnażył szpadę, a Paweł ze szczególną zajądlnością doskoczył do nieznajomego ofiera. Domyślał się w nim rywala, więc nawet jego ogromny wzrost go nie przerażał. Zadźwięczały udzierzenia stali.

Wtem z Ryńku wjechała w uliczkę karetka jałklego wielmoża, poprzedzana konnym forsyami, którzy trzymali w rękach pochodnie, oświetlając drogę.

Blask światła padł na przeciwników.

Paweł, porucznik gwardii, ujrzał nagle przed sobą dobrze znanego mu króla. Oslupiał, osunął się na kolana.

— Najjaśniejszy panie...! Nie wiedziałem...

— Naturalnie, skąd mogłes wiedzieć? — mruknął król. — Dobrze, już dobrze. Wracaj do gospody i sałecaj się dalej do swojej Henrietti. Jeśli cię ona zecne...

Na drugi dzień słońce pośniewało wśród ogrodów na Krakowskim Przedmieściu. Henrietta przebrana w zgrabnego młodzieńca, okrywysy czarne włosy białą peruką z krótkim warkoczem okrężną drogą biegła do wylotu Podwala.

Stała tam karetka wspaniała, z monogramami. Na koźle nieruchomy stangret w błyszczącym uniformie.

Zobaczywszy go, stanęła Henrietta onieśmielona. Stangret z wyniosłości spojrział na młodego mężczyzno, idącego skądinąd niż ze strony, z której się go spodziewał. Henriette bardzo się nie podobalo to lekceważenie i myślała: „Jak on mnie zmierzyl wzrokiem! Widziacie go, hrabia! A gdybym tylko chciała, to musiałby mnie wieść i konie zainac. Właśnie, że wsiadę!”

Otworzyła przedko drzwiczki, wykrzywiła się stangretowi i wskoczyła do karety. Twarz woźnicy wydłużysa się, zagwiżdzał przeciągle ze zdumienia, ale pośpiesznie zaciął konie i ruszyl.

Karetka zatoczyła koło i zatrzymała się przed wąską bramką. Czatował już tam adiutant Rantzau. Powitał ją bez słowa i przedko przeprowadzał, oznajmivszy już wprzód strażom, że przybywa tajny wysłannik z obozu Stanisława Leszczyńskiego.

Za chwilę ukazał się mężczyzno poznany w winiarni.

— Bywał mi, Henrietto! — zawołał wesoło z tym dziwnym, przejmującym dziewczęce serce, wyrazem.

Zaraz też w piersiach winiareczki zaczęło się coś tuć przedko, przedziotko — i nie wiedziała, co mówić.

— Nie poznajesz mnie?

— Poznaję — odpowiedziała, a po chwili dodała: — Ale żebym miała znać, to nie powiem.

— Cóżże taka zalegniona?

— Nie, nie lekam się, lecz trochę mi strach, bo też do jakiegoś zakłętego zamku przywidli mnie, panie.

August Mocny roześmiał się. Usiedli obok siebie. Na stoliku stały czółienka z owocami i słodyczami.

— Masz tu lakocie, Henrietto.

— Dziękuję. Powiedziecie mi, panie... Wyście pierwsi raz chyba byli w takiej podłej winiarni, jak nasza?

— Bywałem już. Ho, bo i rozmawiałem! Raz w Norymberdze wjechałem ku przerażeniu wszystkich do obszernej piwnicy ratuszowej, wiesz jak? Sześciokonnym zaprzęgiem, po sobodach, w galopie — z pistoletu wystrzelałem wszystkie świece, pogasiłem je strzałami i w galopie wyjechałem. Ludzie myśleli, że szatan wpadł i że onl prosto z piwiarni pójdo do piekła. — Śmiał się serdecznie. — Mówiono o tym przez rok. Ale to już dawno temu wycyzniałem. Jeszcze jako elektor.

— Jako kto?

— Jako elektor.

— A teraz — teraz jesteście, panie królem...? — Henrietta roztworzyła pasowe usta i patrzyła, patrząc.

— Cóż, Henrietto? Nie myślałaś, że będziesz w twege króla?

Po niejakim czasie dopiero Henrietta zapytała znou:

— To ja na Zamku jestem?

— Na Zamku.

Henrietta zerwała się na równe nogi. Ukłoniła się głęboko i tak została z pochyloną głową.

Wziął ją za rękę i posadził znou obok siebie.

— Powiedziecie głośno, najjaśniejszy panie, po coście mi tu kazali przybyć?

— Boś mi była bardzo miła, Henrietto.

— I jeszcze taka jest?

— Ciagle, najmlisza.

Dziewczyna zaniemówiła ze szczęścia.

— Tylko nie umykaj, dziewczęciu!

Onieśmielona, w objęciach króla, pomyślała, że wszystko, czego się pragnie, przychodzi i że przyszło nawet to, o czym w najpiękniejszych snach nie marzyła.

Zadumana, szczęśliwa, chodzyła w tych dniach pełnych wiosny po Starym Mieście, jakby nie po tym świecie. Każdy dom miał złociste obramowania. Na drzewach rosły tęczowe gałazki. Wisła płynęła jak brokatowa szarża zwisająca z niebieskiego baldachimu.

Gdy Henrietta na chwilę ukazywała się w winiarni, śpiewała tak, jak samotna w całym lesie synogarlica, która nie widzi w gąszczach zieleni nic, nikogo, tylko swoje własne ustanie z mchu, listków i gałazek.

W majowe przedpołudnia tajemna karetka zawozila ją do zakłętego zamku. Tam czekał na nią król i ją, winiareczkę ze Starego Miasta, otaczał kłilwymi pieszczołami.

Życie dało jej najpiękniejsze dni.

Aż pewnego razu szła Henrietta przez Młodową, a w oczach jej świeciły się łezki. Jej król odjeżdżał, wyruszał na wojnę. Jeszcze tylko na drugi dzień miała ją zabrać karoca, na pożegnanie.

Był to rok 1702. Król wyruszał przeciw zbliżającym się do Warszawy wojskom nieprzyjacielskim. Król szwedzki, Karol XII, wtargnął do Polski i tocząc wojnę, przerwał i zakończył ich romans.

Skończyło się miłosne szczęście Henrietti ze staromiejskiej winiarni.

— Trudno. Odjeżdża — mówiła sobie w myślach. — Właśnie jak ten okręt nad bramą na Świętojańskiej ulicy”.

I widziała już, jak rzeźbiony okręt znad bramy, który zdawał się trwać zawsze, wyrusza i wtaacza się w fale błękitne, ale coraz odpływające dalej, a na okrecie mebelki atlasowe i hamaki z koronek. Jeszcze maszty i żagle błysnęły pod słońce i kołyszą się białoziociele...

Henrietta weszła na Rynek Starego Miasta i stanęła przy studni.

Z daleko tylko, z uszanowaniem, patrzą na nią jacyś chłopczy i kilka zazdrosnych dziewcząt.

„A jutro jeszcze pojedą na Zamek” — pomyślała i zarumieniła się z radości.

Skoczyła ku domowi, ku bramie, przy której wisiała biała teraz latarenka i przybliżyła godło winiarni. Trzęsły się jeszcze Henriette brylantowe łyzy na rzęsach, ale na ustach miała marzący uśmiech.



Zyjemy w czasach gdy tragizm miesza się ze śmiesznością, szlachetny patos z warcholstwem, humanistyczna tolerancja z jej typym brakiem... W tym chaosie jedyną pociechą jest fakt, że tak ze szczytem nie upadły autorytety, do których zawsze miałem zaufanie. I na te autorytety chciałem się powołać.

Prof. Jan Szepeński mówi w wywiadzie dla popularnej gazety: „Grozi nam niebezpieczeństwo, że stanemy się sym-

jest z nami, ten jest przeciwko nam”. Potem zrodziła się mądrzejsza i tolerancyjniejsza wersja tego hasła: „Kto nie jest przeciwko nam — ten jest z nami”. Dziś w różnych wypowiedziach pobrzmiewa mi tamto stare hasło z lat pięćdziesiątych.

Pisze Kazimierz Koźniewski: „Przedstawiciel „Solidarności — Mazowsze” oświadczył zgromadzonym literatom warszawskim, iż w bibliotece nowego związku „pierwszą książką be-

tanem. Bo przecież biorę do ręki gazetę i czytam co pisze Lech Bądkowski — członek KKP „Solidarności”, gdański pisarz, jeden z sygnatariuszy historycznego porozumienia... Pamiętam jego mądre przemówienie na Zjeździe ZLP, gdzie powiedział, iż trzeba społeczeństwu mówić gorzkie prawdy, także o samym społeczeństwie.

I teraz pisze taką właśnie prawdę: „Niebezpieczeństwo obstawiania przy znacznie zmniejszonym wymiarze wspólnej zorganizowanej pracy polega — nie wyłącznie, lecz w pierwszym rzędzie — na tym, że podrywa się euforię nierobienia, dość już wyraźna w społeczeństwie. (...) Objawy demoralizacji społecznej dostarczamy codziennie, tylko zawsze odnosimy je do „kolegi”. Łatwiej powiedzieć — nie pracuj, niż — pracuj dobrze”.

Kiedy gdańscy pisarze ogłosili pamiętny apel o zawieszenie decyzji zarówno odnośnie wolnych sobót jak i akcji strajkowej — spotkali się z zarzutem — pisze Bądkowski — że „opowiedzieli się po stronie rządowej”. I dalej stwierdza: „Ile ze słuchem obywatelskim czy też ze zdolnością spokojnego rozumowania? Świadczy to o przechyle w kierunku euforii nierobienia, o zatrzymaniu krytycyzmu lub jego jednokierunkowości”.

Otóż to. Stąd już tylko jeden krok do nietolerancji z emocjonalną zadyszka. A dalej już tylko mały kroczek — w prawo, lub w lewo — i wdepujemy w tragizm albo śmieszność.

## NIEDOCENIENI

Namnożyło się nam prasy i namnożyło dziennikarzy. I bardzo dobrze. Nigdy nie przypuszczałem, że jest to tak popularny zawód. Wręcz przeciwnie. Przez kilka ostatnich lat słyszałem nieraz, że jest to zawód, którego młodzi unikają, a młodzi dziennikarze stałem wcale nie są już młodzi wiekiem. Coś podobnego jak wśród pisarzy, a nawet jeszcze gorzej. Pisarzem można w końcu zostać i w późniejszym wieku, dziennikarzem raczej trudno. Parę osób próbowało, ale były to próby nieudane.

I teraz nagle wybuchło. Wszystko, co drukuje się na powielaczach uważane jest za gazety, a ludzie, którzy to robią za dziennikarzy. Istnieje już nawet konflikt między dziennikarzami prasy oficjalnej i nieoficjalnej. Przy okazji różnych strajków i konferencji prasowych odbywanych z tych, czy innych powodów czyni się sobie różne wstydy, co ma być wyrazem wysokiego poczucia demokracji. Niby dlatego, że ci, którzy robią różne biuletyny są wiarygodni i piszą prawdę, a ci, którzy pracują w prasie oficjalnej są niewiarygodni i kłamią. Prawda jak zwykle leży pośrodku. W biuletynie MKZ we Wrocławiu znalazłem nawet ostry atak na cenzurę tamtejszej „Solidarności”. Była i tak. Zresztą różne staki na prasę oficjalną ze strony różnych związków zawodowych biorą się stąd, że pisze ona akurat nie to, co związkowcy chcieliby przeczytać. W końcu dziennikarz też człowiek i powinien mieć prawo do własnego zdania. Jeśli komuś się ono nie podoba, to niech próbuje polemizować, a nie zamykać drzwi, jak to robili studenci. I nie oni jedni.

W tym całym rozgardiaszu, zupełnie na boku, nie zauważona i nie oceniana pozostała prasa zakładowa. A nieustannie. Jest to bowiem dość ważny oręż i byłoby dobrze, aby można było go wykorzystywać zgodnie z przeznaczeniem. To znaczy, aby za pośrednictwem prasy zakładowej mogły docierać do załóg fabrycznych ważne politycznie i społecznie treści. Tylko, aby tak mogło być ktoś musiał zrozumieć, co posiada w ręku. Pytanie: kto jest tym kimś?

Z mojego rozeznania problemu wynika, że gazety zakładowe są różnie wykorzystywane. Na ogół są to biuletyny tygodniowe dyrekcji zakładów przemysłowych, często firmowane jako pisma zalogi, lub samorządu robotniczego. Wydawane są w różny sposób i różnymi sposobami. W Łodzi wychodzi 6 takich pism. Kilka dni temu dowiedziałem się z niejakim zdziwieniem, że tylko dwa z nich posiadają tak zwaną cęskę na papier i fi-

gurują w odpowiednim rejestrze. W województwach: plotkowskim, sieradzkim i skierniewickim również wychodzi 6 takich pism, ale zupełnie nie wiem, jak tam wygląda cęska na papier, a niekiedy podejrzewają nawet, że pewne pisma wychodzą „na wariackich papierach”, czyli praktycznie bez papieru, a jednak ukazują się. Różne cuda dzieją się w tym kraju. I to wszystko wtedy, kiedy papier jest centralnie dzielony, przyznawany, obcinany, kontrolowany i kiedy wszyscy są zupełnie przekonani, że w Polsce panuje kompletny głód papieru. To się wobec tego pytam, skąd ten nagły rozkwit różnego rodzaju prasy i publikacji?

Ostatnio postanowiono, że nasza macierzysta instytucja, RSW „Prasa-Książka-Ruch” przejmie gazety zakładowe, co nasza redakcja postulowała już bardzo dawno. To się oczywiście nie wszystkim podoba i wcale się nie ma czemu dziwić, bo tak na ogół u nas bywa. Przede wszystkim, ci, którzy są najbardziej zainteresowani już choćby ze względów formalnych, a więc dyrektorzy przedsiębiorstw, spienający rolę wydawców, o niczym oficjalnie nie wiedzą. Premier — jeszcze Józef Piłsudski — wydał 24 stycznia 1981 roku rozporządzenie Nr P. 1304/81 w sprawie przejścia prasy zakładowej przez RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ale pismo to do 20 lutego 1981 roku nie dotarło do zainteresowanych fabryk w Łodzi. Poszło ono drogą urzędową. Najpierw do ministerstw, bo do nich jest adresowane. Teraz ministerstwo przepisza to pismo po swojemu, uzupełniając je swoimi uwagami i zaleceniami i przela do zjednoczeń. Zjednoczenia zrobią to samo i przela do zakładów. Minie jeszcze z dwa miesiące i zmarnuje się znów sporo papieru, którego — jak wiadomo — nie ma. W ten sposób — w każdym bądź razie — dziesiątki urzędników udowodnią, jak bardzo są niezbedni.

A mnie chodzi o sprawę bardzo prostą. Chodzi mi o to, aby gazety zakładowe mogły być interesujące, spełniać swoją rolę, przynosić ludziom ciekawe artykuły, cenne informacje, aby pisało się w nich o wszystkim, co dzieje się w przedsiębiorstwie i żeby nie było to cenzurowane przez fabrycznych cenzorów. Żeby gazeta była gazeta.

Wszystkim, którzy mają wątpliwości, czy tak być może polecam lekturę tygodnika satyrycznego „Szpilki”. Trudno go dostać to prawda. Wszystko dziś trudno dostać. Ale, jak ktoś już dostanie, to może się przekonać, że w prasie zakładowej też można uprawiać satyrę i że jest ona niekiedy cenna i złośliwa, i na dobrym poziomie. Tylko łódzkich gazet zakładowych „Szpilki” jakoś nie cytują. Ale może błąd. W każdym razie w sprawie prasy zakładowej mam gorącą prośbę: nie wylejmy dziecka z kąpielą! Parę razy już nam udało się to zrobić bardzo dobrze.

MARCIN RODAK

## TRAGIZM I ŚMIESZNOŚĆ

bolem bezradnego narodu lamentującego, który mając olbrzymi aparat instytucyj „mogących” załatwić jego sprawy, doprowadził siebie do stanu sparaliżowania. Jesteśmy na progu śmieszności, nie tragizmu. Grozi nam niebezpieczeństwo, że staniami się w oczach świata narodem niepoważnym”. (...) Odnosi się wrażenie, że również związki zawodowe działają tak, jakby wierzyły we wszechmoc partii i rządu, jakby sądziły, że dobra wola władzy może powodować cuda i że dotrzymanie wszystkich umów uratuje kraj. Oczywiście umów trzeba dotrzymywać. Ale ich pełna realizacja nie rozwiązuje automatycznie wszystkich trudności gospodarczych”.

Każdy masowy ruch niesie w sobie piętno pewnej nietolerancji. Tak było u nas w latach pięćdziesiątych, kiedy to obowiązywało hasło: „Kto nie

dzie „Biblia”, dalej sto tomów „Nowej” (książki Niezależnej Oficyny Wydawniczej publikowane poza cenzurą — przyp. mój), na koniec znajdują się tam wasze książki, które jednak zostaną przez nas skontrolowane, sprawdzone...”

Tak więc — konkluduje Koźniewski — na miejsce jednego monizmu postuluję się, bynajmniej nie pluralizm, ale po prostu i zwyczajnie inny, przeciwstawny monizm”.

Nikt nie zaprzecza, że wśród publikacji „Nowej” jest wiele wybitnych pozycji polskiej literatury. Choćby szczególnie przez mnie ceniony Tadeusz Konwicki. Ale — przepraszam bardzo — system wartości literackich tworzy się nie przez dekretowanie (co miało miejsce w minionych latach także) — i to dekretowanie związków zawodowych.

A więc pomieszenie z popi-

## TELEWIZJA

Spośród wielu zjawisk i instytucji życia społeczno-politycznego, którymi zawładnęła posierpniawa trąba powietrzna (nie jest to najwłaściwsze porównanie — natychmiast je koryguje: „ożywy wiatr od morza”) telewizja odniosła obrażenia bodajże najboleśniejsze. Najpierw afera z Prezesem, równie spektakularna jak instytucja z której się wywodziła. Odrzyński z tej afery będą jeszcze przez jakiś czas kłuć nas w oczy. I nie chodzi tu wcale o te prawdziwe bądź mityczne sauny, wille, helikoptery i baleki, ale o styl działania i oddziaływanie Tv. reprezentowany przez jest wszechmogącego Szefa (patrz w ostatniej „Polityce” tekst zatytułowany „Jak przed wojną w Abisynii”, także „list do redakcji” Janusza Gazdy i Zygmunta Książkockiego). Dalej — nadużycia finansowe i programowe „Politełu”, te o których tu i ówdzie pisano — a można przypuszczać, na podstawie jednej z wypowiedzi obecnego Prezesa Radiokomitetu, iż stanowią one wierzchołek góry lodowej: jej znaczna część wciąż jeszcze pozostaje pod wodą.

W tym co się o telewizji pisze i mówi, sprawy powyższe mają przecież charakter drugorzędny. Zostały w znacznej części skorygowane, a i reszta rychlej korekty się doczeka (znów narazam się na zarzut łatwego optymizmu, trudno — i optymiści są potrzebni). Ważniejszy ciężar mają te krytyczne opinie o telewizji w których obrazca się ją winami za propagandę sukcesu, kiedy zarzuca się jej milanie z prawdą, brak obiektywizmu, a także jednostronny ton w aranżacji jednego tylko zespołu kompozytorów. Oceny

te biorą się — jak pisze Dariusz Fikus (znów cytuję ostatnią „Politykę” — honi soit qui mal y pense) — z ogólnego wzrostu krytycyzmu wobec władzy, związków zawodowych, administracji, w tym także masowych środków przekazu. „Nie sądzę — kontynuuje Fikus — że dzisiejszy dziennik Tv jest gorszy niż dwa lata temu, ale właśnie ten dzisiejszy jest znacznie surowiej oceniany przez widzów”. Z jednej strony badania odbioru głównego wydania DTV ujawniają tendencje do wzrostu

lecznej na temat telewizji. Inaczej mówiąc — od tego jak i co przedstawi dziennik — zależy będzie jakie hasła o telewizji pojawiają się w trakcie rozmaitych akcji protestu (porównaj twórczość plakatową łódzkich studentów), bądź jakie uformują się oceny. Tu jedną rzecz należy wyrazić wprost. „Jesteśmy instytucją rządową” — powiedział Redaktor Naczelny Łódzkiego Ośrodka Tv. „Główne wydanie dziennika powinno zachować swój status prezentacji punktu widzenia władzy.

mach jednocześnie? Czy rzeczywiście jest to najwłaściwszy sposób skupienia widzów przed odbiorcami? Bo chyba o to chodzi w tej praktyce. Nie sądzę, aby miała ona racjonalne przesłanki. Tak czy inaczej, dziennik Tv, jako najbardziej dostępne źródło informacji, i co ważne, informacji wzbogaconej przez obraz, będzie oglądany z potrzebą, a nie z braku wyboru. Po drugie, inne wydania dziennika — popołudniowe i nocne — mogłyby mieć charakter autorski, z komentarzem, z indywidualną opinią

udziałem materiałów telewizyj zagranicznych. Ruszmy wreszcie te ramówki, która broni się głównie przez zasiedlenie. Może ona tu i ówdzie jest nie najgorsza, ale opantryła się tak dalece, że jej dalsze istnienie będzie radykalizować opinie, iż w TvP nic się nie dzieje.

W związku z treściami tego felietonu wart jest podnieśnienie jeszcze jeden problem. Zaczynają się mnożyć przypadki, że gdzieś tam nie wpuszczono dziennikarzy, gdzie indziej wyproszono ekipę telewizyjną, że postępuje się reporterów, że z partykularnych powodów rozmaitych grup nacisku mając się publicystycznym walor informacyjny itd. Spektakularnym tego przykładem była audycja Ewy Piątkowskiej o przedszkolach. Zgodzą się wszyscy, że nie tędy droga.

Ala i propos Ewa Piątkowska: zainaugurowała była właśnie wraz z Zygmuntem Szeliga nowy cykl „Raport w sprawie alkoholizmu”. Ewenementem w skali światowej tej audycji był fakt, iż ich pytania (jak uderzenia batem?) padły wobec pustych foteli. Nikt bowiem z zaproszonych zarządców naszymi spirytualiami nie odważył się wziąć udziału w programie. A kolekcji przed monopolami wciąż stoją! Jak mam nie stać, gdy profesor Czesław Bobrowski, którego dotąd słuchaliśmy uważnie, udzielił rządowi następującej rady: niebezpieczeństwo nawisu inflacyjnego można znieść jedynie podnosząc w sposób drastyczny ceny na alkohol! Pani Ewo czy będzie Pani kontynuować swój cykl?

GRZEGORZ GAZDA

## O DZIENNIKU TELEWIZYJNYM

widowni, z drugiej — do spadku ocen. Oceny bardzo dobre — także wg Fikusa — spadły do 20 procent, kiedy w listopadzie 1979 r. wynosiły 32 procent. 76 procent badanych oceniło, że w porównaniu z okresem minionym telewizja lepiej informuje obecnie. A przypuszczać należy, iż gdyby takie badania przeprowadzono bezpośrednio po transmisji rejestracji „Solidarności”, po panelowej dyskusji na temat wolnych sobót (z udziałem „Solidarności”), po ostatniej transmisji obrad Sejmu, telewizywnia byłaby o wiele łaskawsza w swoich opiniach.

Jeśli piszę o dzienniku Tv (w tym także o wszystkich audycjach, które dziennik firmuje), to dlatego, że właśnie dziennik wywiera decydujący wpływ na kształtowanie się opinii spo-

Myszę, że dla interesów państwa jest bardzo ważne, by obywatele znali oficjalny punkt widzenia. Nie zamiany szumami różnych innych interpretacji” — powiedział Stanisław Celichowski — redaktor naczelny Naczelnej Redakcji Dzienników Telewizyjnych. I dodał: „Równie ważne jest to, by ci, którzy mają wobec państwa takie czy inne uwagi, mogli je wypowiedzieć na forum tak publicznym, jak telewizja. Ale ten model propagandy właściwie się dopiero rysuje”.

Otóż to. Zgadzać się z redaktorem Celichowskim co do zaproponowanej przez niego formuły głównego wydania dziennika, spróbujemy rozważyć to co się „właściwie dopiero rysuje”. Po pierwsze, czy główne wydanie dziennika musi być emitowane w obu progra-

rowadzającego. Niechaj emocje np. Borysa Mokrzyzewskiego będą jego autentycznymi emocjami, a nie stylizacją wedle scenariusza PAP Niechaj Irena Falska nie mówi z mroczną twarzą tekstu, z autorem którego utożsamiać się nie może. Niechaj Grzegorz Woźniak nie indywidualizuje swojej wypowiedzi tylko wobec pokazów mody i cesarzy (co raz rządsza to okazja). Po trzecie, należy rozszerzać (tu mam wątpliwości, czy jest co rozszerzać) formułę odrębności drugiego programu, odrębności rzeczywistej, na zasadach szlachetnej rywalizacji i konkurencji z programem pierwszym. Także w zakresie serwisu informacyjnego. Zamiał dublować główne wydanie dziennika wprowadzimy dwa wydania „24 godzin” z pełniejszym niż dotychczas

gentnym i świetnym aktorem kabaretowym, ma także dużo udanych ról scenicznych, wreszcie dobrze śpiewa i interpretuje piosenki, zwłaszcza te ze „starego portfela”. Powierzenie mu roli Cyrana miało więc dużo uzasadnienia.

Jak zagrał Cyrana? Powiedziałbym, że bardzo właściwie, zakładając, że realizatorem widowiska chodziło o stworzenie spektaklu adresowanego do masowego widza. Cóż to znaczy w przypadku skomoroszą Fronczewskiego? Znamy go z satyrycznych programów — radiowych „Sześćdziesiąt minut na godzinę” i telewizyjnego Kabaretu Olgi Lipińskiej. W obu cyklach jest Fronczewski aktorem myślącym, współtworzącym nastroj i dowcip. Ale z pewnością pamiętamy, jak wykonuje on przedwojenną piosenkę „Bez śladu była wielka miłość zgaśnię”. W tym przypadku Fronczewski zachowuje się wobec tekstu dyskretnie, podporządkowuje mu się jakby, nie rewiduje intelektualnie mielizn.

Myszę, że tę drugą postawę, pozbawioną mani festowanego krytycyzmu i podporządkowaną konwencji, zaprezentował aktor kreując swojego Cyrana. Nie oznacza to, że podszedł do roli bez szacunku. Temu przeciwobły wielkie skupienie i narzucona sobie przez Fronczewskiego dyscyplina w dozowniu środków ekspresji. Dostaliśmy dzięki temu dobrą próbkę masowego widowiska rozrywkowego.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Zdarzyło mi się półtora roku temu przejeżdżać przez miasteczko Bergerac, położone w prowincji Perigord w południowozachodniej Francji, nad rzeką Dordogne. Miasteczko mniej więcej trzydziestotysięczne, podobne do setek innych, a przecież mające swój wyróżnik. Nim skojarzyłem sobie nazwę z imieniem Cyrana de Bergerac, dostrzegłem kolorowe napisy: „Witamy w mieście Cyrana”, a także oberże, hotele i inne obiekty mające dżgonoszące bohatera za patrona.

Tak miasteczko Bergerac — szczyt się tradycji Cyrana, choć pisarstwo tego XVII-wiecznego gaskońskiego popy i zabijaki pokryła gruba warstwa kurzu. Wprawdzie jego powieści fantastyczna „Tamten świat” zdumiewa wczesną wizją lotów międzyplanetarnych, ale przecież nie ona, ani nie garść komedii i satyr jest źródłem światowej kariery tej postaci.

Sławę swą Gascońcyk zawiódł Edmondowi Rostand (1868—1918), dramaturgowi określanemu jako pogrobowiec dramatu romantycznego. Do najbardziej znanych jego sztuk teatralnych należy „Cyrano de Bergerac”, wystawiony po raz pierwszy w 1897 roku w Paryżu, a w Polsce już rok później. Wspomnieć można jeszcze inny utwór sceniczny Rostanda „Orlakto”, której bohaterem jest książę Reichstadt, nieszczestny syn wielkiego Napoleona. U nas rola ks. Reichstadt należała do złotego repertuaru Juliusza Osterwy.

Faktem jest jednak niezaprzeczanym, że „Cyrano de Bergerac” był właśnie sztuką, która zapewniła autorowi największe powodzenie i miejsce w

literaturze. Nie znaczy to, że pisarstwo Rostanda nie jest przedmiotem kontrowersji: obok licznych zwesza miłośników ma ono zapiekłych adwersarzy, zwłaszcza w kręgach intelektualistów i ludzi o bardziej wyrobionym smaku artystycznym. Zarzuca się Rostandowi, że jego „Cyrano” to z perfekcją wykonany kicz, mało mający wspólnego z dziełem sztuki. Łzawość, melodramatyczność i koczucia patetyczność („Gascońskie ci to są junaki

śmiać i uronić łzę, nawet jeśli tragiczne sceny mają charakter konwencjonalny, nie pogłębiony psychologicznie. Skoro więc „Cyrano” mimo pewnej kiczowości, spełnia oczekiwania publiczności, to z pewnością ma on prawo do obywatelstwa na scenie. A szczególnie na scenie teatru telewizyjnego.

Mass media łakną właśnie do przetworzenia takiego surowca, jakim jest sztuka Rostanda. Współ-

czesne teksty rzadko zaspokajają to zapotrzebowanie, gdyż w środowiskach pisarskich tworzenie literatury popularnej i rozrywkowej należy do czynności wstydliwych, jeśli nie wręcz podejrzanych. Trzeba więc szukać w spuściźnie literackiej i taka jest chyba geneza spektaklu K. Zaleskiego, który mieliśmy ostatnio możliwość oglądać.

O powodzeniu inscenizacji „Cyrana” decyduje w dużej mierze obsada roli tytułowej Zaleski sięgnął po wszechstronnego i popularnego aktora młodszego pokolenia — Piotra Fronczewskiego. Fronczewskiego cechuje duża wszechstronność. Jest intell-

## CYRANO W MASS MEDIACH

Carbona de Castel Jaloux”) to główne zarzuty, jakie stawia się tej sztuce.

Istotnie, o ile dziś któryś z teatrów siega po ten postarzany w dodatku tekst — a czyniły to u nas m.in. Teatr Nowy w Warszawie, obsadzając Stanisława Mikulskiego w roli tytułowej, i Teatr Nowy w Łodzi z Mieczysławem Voitem — to nie łączy z przedstawieniem wielkiej ambicji, traktując jako pozycję par excellence rozrywkową, zapewniającą dobrą kasę.

Czy to jednak istotnie zarzuty? Przecież właśnie rozrywki szuka w teatrze widz masowy, chce się